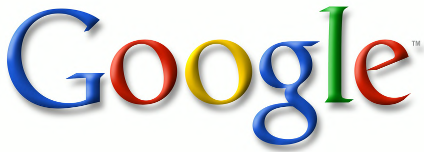
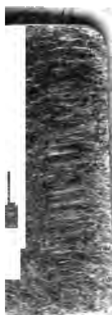
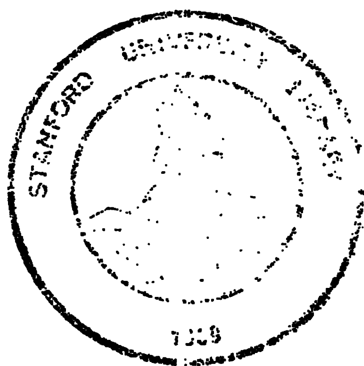


 Weyhertówna Zyciorysy Naszych...




STANFORD





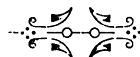


ŻYCIORYSY

naszych najlepszych poetów 16-go stulecia.

Ułożyła dla młodzieży

Wł. Weyhertówna.



WARSZAWA

Skład główny w księgarni G. CENTNERSZWERA — Marszałkowska 143.

1899.

DRUK. M. LEWIŃSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 143

Дозволено Цензурою
Варшава, 5 Октября 1899 года.

Złoty wiek Zygmuntowski.

Złoty wiek — cóż to za czasy szczęśliwe? Czy złoto wtedy u nas znajdowano? Nie! ziemia była bogata i żyzna, jako i dzisiaj; dużo zboża zbierano, wypasano mleczne krowy i wełniste owce, chowano piękne konie,—ale przecie nie dlatego wiek się złotym nazywał. Złoty—znaczyło bogaty w ludzi mądrych, a piszących śliczne książki, które do dziś dnia wszyscy czytają, choć ci, co je ułożyli, dawno już w ziemi spoczęli. Było to bowiem lat temu trzysta; trzy setki lat, czyli trzy wieki dzielą nas od tych czasów. Że jednak ludzie zawsze liczą lata od narodzenia Chrystusa Pana, więc i my musimy je w ten sposób oznaczyć. Teraz jest rok 1899 od narodzenia Chrystusa, to znaczy 18 setek lat czyli wieków już zbiegło, a nawet kończy się dziewiętnasty. Żyjemy więc w dziewiętnastym wieku od narodzenia Chrystusa; a że trzy wieki dzielą nas od złotego wieku piśmiennictwa polskiego, więc złoty wiek był to wiek szesnasty.

W czasy owe osobliwie na dworach wielkich panów gwarno było i ludno. Wedle zwyczaju, i uboższa i bogatsza szlachta oddawała tam synów, aby się w świecie przetarli i z interesami kraju zaznajomili. Każdy z ówczesnych ludzi musiał być w młodości krócej lub dłużej u jakiegoś biskupa, wojewody lub kasztelana.

Tam się młodzież w towarzystwie ludzi starszych, a rozumnych, uczyła z tego, co widziała i słyszała. Rozprawiano na takich dworach o wszystkiem, co się działo w kraju i zagranicą, czytano, co kto mądrego i pięknego napisał. Pan miał stosunki z rozmaitymi ludźmi, musiał mnóstwo listów pisać i wyręczał się młodymi, z czego też dla nich korzyść i nauka płynęła. Nieraz młodzież i własnych sił próbowała: ten i ów wierszyk jaki ułożył, odczytywano go, robiono uwagi. Tym sposobem okazywały się zdolności każdego, a jeśli się lubił uczyć, to go pan posyłał nieraz i zagranicę: do Niemiec, Włoch lub Francji. Najbardziej każdy poznać pragnął Włochy, bo był to kraj rodzinny wielkich pisarzy, których dzieła czytano w owym wieku z wielkiem zajęciem i starano się je naśladować.

Któż to byli ci wielcy pisarze? Dawno już oni żyli, bo przed narodzeniem Chrystusa Pana, w Państwie Rzymskiem, a pisali po łacinie, t. j. w tym języku, w którym się msza odprawia. Naśladując ich, Polacy w szesnastym wieku też pisali po łacinie, bo myśleli, że we własnej mowie nie potrafią się tak pięknie wyrażać, jak w tej, której oddawna tylu pisarzy używało. Nauczyć się jej najłatwiej było we Włoszech, toteż niejeden młodzieniec nocy nie dosypiał, jeno marzył o tym kraju i jego głównem mieście Rzymie.

Ot żyło sobie, naprzykład, w dawnej Wielkopolsce,*) niedaleko Gniezna, małe pacholę włościańskie, drobne, chorowite, lecz zdolne do nauk. Dano mu na Chrzcie świętym imię *Klemensa*, nazwisko miał *Janicki*. Ojciec jego, straciwszy wszystkie dzieci na morową zarazę, bał się o zdrowie jedynaka i nie chciał, żeby

[1]) Większa część Wielkopolski nazywa się dziś Wielkiem Księstwem Poznańskiem i należy do Państwa Pruskiego.

ciężko na roli pracował, oddał go więc do szkoły. Uczył się kmiecy syn, oj uczył; i dnia mu było mało, nocą w książkach siedział. Zapoznał się z mową łacińską, czytał dawnych rzymskich pisarzy, chciałby gdzie wyjechać, by się więcej nauczyć,—lecz czy to jemu o tem marzyć, synowi chłopka biednego? Tymczasem dowiedział się o jego wierszach i o wielkiej pilności do nauk biskup płocki Krzycki i wziął go na swój dwór biskupi. Gdy Krzycki umarł, inny pan— Kmita, wysłał do Włoch biednego wieśniaka. Łatwo sobie wyobrazić radość Janickiego. Lecz na nieszczęście wkrótce bardzo podupadł on na zdrowiu, więc,—jak pisze o sobie:

„Spieszył do kraju, aby zawlec kości,
Aby nie zamrzeć na dalekiej stronie,
Bo czuł, że w bólu nad rady lekarskie
Lepszy jest promień ojczystego słońca.“

Wrócił więc do kraju, ale siły już mu nie pozwoliły odwiedzić wioski rodzinnej. A tymczasem tam umarł jego ojciec poczciwy i Klemens nie ujrzał go przed śmiercią. Jakże tęsknił on do swoich, jak pragnął zobaczyć ukochane pola i lasy!

„Ja się modlę, by powrócić do mej wioski.
Pojadę i napiszę ojcu na grobie:
Tu leży rolnik, nieznany nikomu,
Syn mię, poeta, rozsławił po świecie.“

Lecz to były marzenia tylko. Przykuty do łóżka, Janicki nie mógł wyjechać i narażać się na niewygody podróży. Tymczasem za ojcem poszedł brat na wieczny odpoczynek; została tylko matka staruszka, którą poeta wziął do siebie. Biedna wieśniaczka nie spodziewała się, że syn jej ma takie wielkie zachowanie u panów,

lecz oczy jej łzami zachodziły, gdy patrzyła na jego twarz żółtą, na straszną chudość ciała.—Toż niedługo się cieszyła swym synaczkiem: zabrał go Bóg w dwudziestym siódmym roku życia, zabrał młodego śpiewaka, który taką pracą dobił się nauki.—Trzeba wam jednak wiedzieć, że śliczne wiersze Janickiego nie polskie były, lecz łacińskie, i nie moglibyśmy ich wcale czytać, ani rozumieć, gdyby ich inni poeci nie przetłomaczyli.

Dziś nam się to śmiesznem wydaje, ażeby człowiek, pisząc, obcej mowy używał, ale w szesnastym wieku inaczej o tem myślano. Trzeba było dopiero pisarza, coby zachwycił ludzi polskiemi książkami i pokazał, że mamy ładną i bogatą mowę. Początki wszystkiego zawsze są trudne, dlatego najwięcej zasługi mają ci, co się do nowych, nieznanych rzeczy biorą. To też nie od rzeczy będzie dowiedzieć się czegoś o pisarzu, który pierwszy zajął ludzi polskiemi książkami i zachęcił innych do porzucenia łaciny. Nazywał on się: Mikołaj Rej.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

W dzisiejszej Galicji wschodniej, wśród górzystych i skalistych brzegów, płynie rzeka Dniestr, wpadająca do morza Czarnego. Nad nią w ślicznem położeniu leży miasteczko Żórawno, gdzie przyszedł na świat w roku 1505-m Mikołaj Rej, pisarz sławny później na kraj cały i aż do dzisiejszych czasów.

Ojciec Mikołaja, zamożny szlachcic, dziedzic kilku wsi, mając syna jednego, myślał, że, zostawiając mu *duży majątek*, o naukę jego nie ma się co kłopotać

Jakoż istotnie Mikołaj o kawałek chleba nigdy nikogo prosić nie potrzebował, ale co nauki — to mu bardzo brakowało; a jakkolwiek pisał, i dużo nawet, ale nie tak pięknie, jakby mógł był pisać, gdyby miał ojca innych pojęć,—ojca, któryby rozumiał, że uczyć się powinien nietylko biedny, lecz i bogaty.

Rosło więc sobie owo chłopię w Żórawnie, jako ta dzika płonka. Żywy był, wesoły, na miejscu usiedzieć nie mógł: to po polu biegał, to nad rzeką, to po gniazda ptaków drapał się na drzewa — zwyczajnie, jak dzieci na wsi bez dozoru. Że gdzie głowy nie rozbił, że się nie utopił, nie zabił, łażąc po drzewach i stromych wzgórzach i skałach — zmiłowanie to Boże.

Wreszcie sąsiedzi zaczęli już ganić ojcu Mikołaja, że nie dba o syna; a choć ten powtarzał, że jego jednego ma, więc o naukę mu nie chodzi, przecież się zawstydził i wkońcu oddał chłopca do szkoły do Skalbmierza. Tam przebył Mikołaj dwa lata, ale się niczego nie nauczył, bo się uczyć nie chciał. I nie dziwota: toć przez lat tyle hasał sobie po polach, łąkach i lasach, nic nie robiąc, jeno bąki zbijając. Nie przyzwyczaili go rodzice do pracy, nie powiedzieli, czem jest nauka dla człowieka, skądże więc o tem miał wiedzieć? Później byłby chciał wrócić te lata, kiedy była pora uczenia się; ale lata nie wrócą,—jak woda, co popłynęła rzeką do morza...

Po dwóch latach nauki w Skalbmierzu, nastąpiły dwa lata takiejże nauki we Lwowie i jeszcze w Krakowie.

Do miast tedy coraz większych jeździł wprawdzie Mikołajek, ale do głowy mu nic nie przybywało. Tymczasem ojcu się zdawało, że syn po pięciu latach, w szkołach spędzonych, musi już być bardzo uczonym człowiekiem. Sam się zresztą na tem nie znał, ani też

badał, co Mikołaj umie; wziął go więc do Żórawna, kontent, że się znów będzie mógł patrzeć na jedynaka. A ten na to, jak na lato. Gdy wrócił do domu ojcowskiego, książki ani wziął do ręki: biegał sobie po dawnemu, boso, w koszulinie przepasanej krajką, z rusznicą i wędką,—a gdy wieczorem przyniósł pełne zanadrze płocic, orzechów laskowych, kaczora, gołębia, albo wiewiórkę, to mu pasek rozwiązywano, a zza koszuli wszystko wysypywało się na ziemię. Toż to się rodzice cieszyli a oglądali, co ich kochany Mikołajek zrobił, upolował, czego nazbierał — i mówili: „ten nie zależy gruszek w popiele!“

Chłopak zatem używał swobody, ale że był sprytny i zdolny, więc mu te lata, niby zmarnowane, pożytek przyniosły. Nieraz, leżąc cicho w trzcinie lub trawie nad brzegiem Dniestru, wodził okiem za pszczółką, wróblem, czajką, jaskółką, wroną, przypatrywał się w lesie mrówkom, oglądał uważnie ryby przez się złowione. Mieszkając w ślicznej miejscowości, wpatrując się i wsłuchując ciągle w cudny świat zwierząt i roślin, pokochał sercem całem swą wieś rodzinną, kwiaty swych łąk, zapach pól i świegot ptasząt, których co wiosnę oczekiwał z utęsknieniem. Nie było też dla Mikołaja nic nad to droższego. Ileż to razy, gdy pisał później już jako człowiek wcale nie młody, przypominał sobie zwyczaje i obyczaje drobnych jakichś zwierzątek, które stawiał ludziom przed oczy, mówiąc: „Widzicie, tak oto robią marne zwierzęta, a wy czyście lepsi, czy może gorsi od nich?“ W jednem swem dziele tak np. pisze: „Albowiem patrzaj, jako pszczółki nadobnie się sprawują. Najpierw sobie ulepią plastrzyk z wosku, potem się rozlecą po rozlicznych ziołach, a co *niepotrzebne*, to precz omijają. A nazbierawszy miodu, *do onego* plastrzyka nanoszą, a nanosiwszy, potem na-

dobnie powierzchu zalepią. Także ten baczny człowiek, cokolwiek widzi, słyszy, albo przeczyta, to też, zebrawszy co z potrzebniejszych ziółek, ma znieść do onego ulika, to jest do rozumu, a nadobnie pamięcią to zalepić i zapieczętować, iżby tam długo trwać mogło.“

Jak mówiliśmy, było dawniej zwyczajem, że szlachta oddawała synów swoich na dokończenie nauk na dwory możnych panów. Wiedział o tem ojciec Mikołaja, więc zaczął się rozglądać po świecie, gdzieby syna umieścić; ale że sam do tego zabrać się nie umiał, wysłał go do brata, do wsi Topoli. Tam Mikołajowi kupili sukna czerwonego na ubranie, żeby się przystojnie pokazał na dworze wojewody sandomierskiego, Andrzeja Tęczyńskiego, gdzie go wysłać miano niebawem. Miał już wtedy Mikołaj lat osiemnaście, ale w głowie... cztery wiatry. W brogach i stodołach gnieździło się w Topoli mnóstwo wron, które czyniły wielkie szkody w ziarnie. Zaczął Mikołaj przemyśliwać, jakby je wytępić, i wymyślił sposób doskonały: złapał kilka wron, poprzywiązywał im do ogonów chorągiewki z onego czerwonego sukna, przeznaczonego na ubranie, i puścił tak ptaki; te, jak ogłupiałe, z krzykiem i krakaniem zaczęły po wsi latać i wystraszyły z gumien i brogów wszystkie swe siostry, nie wiedzące, co to za potwory z czerwonymi ogonami. Mikołajek tylko patrzył na nie, śmiał się do rozpuku, aż się na ziemi pokładał, a cieszył się, że szkodników wystraszył. Ale gdy się stryj o tem dowiedział i zobaczył sukno pokrajane, ręce załamał i wcale synowcowi tego nie pochwalił. Sukno czerwone było wówczas bardzo drogie, a szlachcic, choć i bogaty, pieniędzy leżących nie miał aż w jesieni, gdy zboże sprzedał. Musiał zatem czekać Mikołaj z wyjazdem na dwór pana Tęczyńskiego rok cały, bo się pomiędzy ludźmi nie miał w czem należycie pokazać. Wreszcie już

w dwudziestym roku życia, gdy mu wąsik runiał na twarzy, Mikołaj Rej przybył na dwór wojewody sandomierskiego i tam dopiero, rzec można, przestał być dzieciakiem i urwisem.

Było u pana wojewody Andrzeja Tęczyńskiego paniąt i szlachty niemało, ale wszyscy już wówczas umieli to i owo, a nasz Mikołaj, wiadomo, choć w szkołach bywał—nic zgoła.

Zdarzy się rozmowa. pytają go, coby o tem lub o owem myślał, a on o rzeczy pojęcia nie ma, zaczerwieni się, jak burak, bąknie coś pod nosem, a tu na niego wszyscy patrzą się i śmieją.

Był Mikołaj ambitny i nie chciał służyć ludziom za pośmiewisko, rozumu przyrodzonego nie brak mu było, zdolności także: — więc, gdy sobie powiedział, że musi towarzyszom sprostać, gdy wziął się naprawdę do pracy, do książek, to wreszcie nauczył się poznawać, co białe, a co czarne.

Wkrótce też poczuł w sobie chętkę do pisania i z wielką łatwością zaczął układać rozmaite wiersze.

Rej na dworze pana Tęczyńskiego czytywał nadewszystko książki w języku łacińskim, którego się już w szkołach, choć słabo, poduczył. Jednak pisać po łacinie nie mógł, używał go więc wojewoda do układania listów polskich, do kogo było potrzeba, z kim się mniej liczono, bo do znakomitszych osób tylko łacińskie listy posyłano. Tym sposobem Rej wprawił się w pisanie po polsku i zaraz sobie pomyślał: „Nie umiem po łacinie, ale czyż to wstyd pisać we własnym języku, albo czy mniejszy ma być z tego pożytek? Może i większy, bo wszak mowa nasza piękna i warta tego, by ją w pismach utrwalać.“

„Niedbalszych ludzi niemasz, jako Polacy,—pisał,—a coby się w swym języku mniej kochali. Wszyst-

kie narody językami swymi pisały, jednośmy w swym języku prawie zadrzemali." I dobrze Rej myślał, a my go za to wspominamy i kochamy, bo nauczył nas cenić to, co pierwej Polacy mało sobie ważyli; i za to go też kochamy, że się z nami dzielił tem, co umiał, o czem wiedział,—a pisał po prostu, ale dobrze, poczciwie.

Mikołaj Rej posiadał rzadką łatwość do pisania, a przytem dużo temu pisaniu czasu poświęcał. Po kilku latach, opuściwszy dwór Andrzeja Tęczyńskiego, gdzie się tak wiele nauczył, i przejechawszy się jeszcze tu i tam między przyjaciółmi, ożenił się i osiadł na swej wsi.

Tam gospodarstwem się zajmował, życie wesołe, towarzyskie prowadził, nigdy nie opuścił zjazdu sąsiedzkiego, ale zajęcia stałego, urzędu nie przyjmował. Wesoły był, rubaszny, żarty sypał, jak z rękawa, lubili go też wszyscy sąsiedzi i dowcipy jego sobie powtarzali. Rej zaś, z ludźmi się bawiąc, przypatrywał się ich sprawom,—a potem pisał, wytykając co złe, a co dobre, lecz nie jednemu, żeby osobistem dotykaniem nie drażnić, nie obrażać nikogo, a wszystkim.

Wiele też mądrych rad i przestróg w jego pismach znaleźć można. Ułożył on cały szereg prac mniejszych i większych, najlepiej jednak daje się poznać z dziełka p. t. „Żywot człowieka poczciwego." Niemłodym był, gdy je pisał; już mu się wtedy włos srebrzył, a życie wiele bardzo doświadczeń przyniosło i wiele go nauczyło. Napatrzył się przez ten czas ludziom rozmaitym, zwyczajom przeróżnym i dużo miał do powiedzenia; a że, jak wiemy, zawsze myślał o tem, żeby światła i nauki nie trzymać pod korcem, lecz innym jej udzielać, więc napisał, jaki to być powinien żywot ludzki, i czego się strzedz ma człowiek poczciwy, a jak *sobie radzić, żeby* i jemu i ludziom z nim dobrze było.

Zaczął zaś Rej ten żywot od samego początku, to je od lat dziecinnych człowieka. Trudno zmieniać s staremu, ale dziecię jest jak to drzewko młode: prz wiąż je do palika, jeśli chcesz, by prosto rosło.

Niech więc rodzice myślą o swoich dzieciac „albowiem wierz mi“ — mówi Rej, — „iż roztropne (młodu wychowanie siła potem obyczajów dobrych i starość każdemu umnożyć może. Bo i wosk, póki miękk tedy w siebie rychlej pieczęć przyjmie, niźli kiedy stwa dnieje.“

Jakież to jednak ma być to „roztropne wychow: nie“?—Wielu myśli, że dobrze wychowywać znacz dzieciom dogadzać, dużo im dawać jedzenia, stro w ładne sukienki, dla popisu, co zwłaszcza lubią kobi ty, żeby powiedzieć: ot moje dziecko tak oto piękn a bogato ubrane! Ganił Rej taką próżność i głupot „Nie dawajże dziecku zmłodu pstrych sukienek, ja prosięciu, gdy je na Wielkanoc na półmisku ubiorą; jako się to w pamięć wbije, to tak mu się na pote zawżdy będzie chciało. A nie pieść go temi wymyśl nemi pieścidełkami, bo onemu żołądkowi rozpieszcz nemu zawżdy każda rzecz zaszkodzić będzie mog więcej, niźli owemu sękowatemu, co przywyknie z mł du do dobrego i złego.“

Nie pozwala Rej pieścić dzieci, ale i nie radzi w zbytniej grozie chować, bić za najmniejsze przewini nia, jak to robią często rodzice, dlatego że złości wła nej pohamować nie umieją. Radzi więc Rej „b zbytniej grozy, upominaniem dziecku potroszę ujmow obroków, aby nie rosło, jako wierzba, którą, jako n chylisz, także też rość będzie...“ Gdy dzisiaj te sło czytamy, zaprawdę, dziwić się możemy. Dawneż to czasy, gdy we wszystkich szkołach bito ucznió *gdy mówiono*, że bez rózgi nie wychowa się dziecka?

Ale dziś, a trzysta kilkadziesiąt lat temu—to wielka różnica, boć ludzie ciągle się uczą i coraz mądrzejsze sposoby we wszystkiem wymyślają. Jeśli więc wówczas Rej na takie zdanie się zdobył, to musiał być bardzo mądrym człowiekiem. Widać to ze wszystkich rad, jakie daje rodzicom. „Boć może dzieciątko, ślicznie się bawiąc, i paciorka, i „a, b, c" łatwo się nauczyć. A to jest najpilniejsze, aby, gdy już ku lepszemu rozumowi będzie przychodziło, uczyło się pojmować, co jest Bóg, a co jest wola Jego."

Dalej zaś pisze: „Ale ku poczciwemu żywotowi najpotrzebniejsze są nauki, które są ozdobione rozumem roztropnym a poważnemi cnotami." Wszystko więc, czego się człowiek uczy, ma według Reja do tego prowadzić, żeby był lepszym, cnotliwszym, żeby umiał żyć rozumniej i z większym pożytkiem dla siebie i innych. A uczyć się może ciągle, jeśli chce, i to nietylko czytaniem, ale i rozmową. Ten ostatni sposób zdaje się Rejowi nawet łatwiejszym: „Ale uważać trzeba, by, gdy się ludzie zejdą, rozmowy ich nie były wszeteczne a opiłe, a nie lada o czem. Trzeba żyć z ludźmi, widzieć dużo w świecie, ale trzeba się uważnie wszystkiemu przyglądać i zewsząd korzyść ciągnąć."

Gdy człek przestał być dzieckiem, warto mu się rozmyślić i rozpatrzyć, jakąby sobie wziąć „żonę poczciwą, a w bojaźni Bożej wychowaną." Rozmyślić się zaś trzeba pilnie, „bo to nie do jutra ma być."

Oj, pono wiemy o tem wszyscy, a przecie niejednemu ożenić się łatwiej, niż kupić kapotę. Nie wiedzą też ludzie, czego chcieć od kobiety. Jeden sobie szuka żony z wielkich stanów, drugi nie dba o nic, gdy mu się upodoba, „inny zasię nie dba ani o miłość, ani o powagę, ani o urodę, ani się żadnym obyczajom

przypatruje i byleby miała ze dwie wsi i trzeciej połowę, to już dobrze, choćby była garbata."

Żaden z tak myślących dobrze na ożenku nie wyjdzie, mówi Rej, bo ten, co się z panną z wielkiego stanu ożenił, musi żyć większym kosztem i rujnuje się; u tamtego zaś, co się tylko na pieniądze oglądał, zgoda domowa jakże ma być? Jedno drugiemu zmierznie i obrzydnie. „Szukajcie sobie żonki stanu równego, wychowania roztropnego, obyczajów nadobnych, a wstydliwych"—radzi.

Wielce też gani wspaniałe, a huczne wesela, mówiąc, że lepiej pieniądze przeznaczyć na zagospodarowanie się porządne. A co za życie przyjemne obiecuje człowiekowi poczciwemu, który w żonie zacnego znalazł towarzysza! „Już zawżdy tu sporo, bo jedno drugiego o wszystko się radzi. Przyjedzie przyjaciel, już mu miło na tę zgodę patrzeć; ano mu oboje usługują, oboje wdzięczną ochotę okazują. Już się też do nich gromadzą, już tu z nimi mile rozmawiają, już się tu sobie lada czemu uśmieją."

Przez cały rok Boży człowiek poczciwy ma w gospodarstwie wiele przyjemności, jeśli tylko umie z nich korzystać, a życia sobie nie zatruwa gniewem, frasunkiem niepotrzebnym, opilstwem, obżarstwem i innemi paskudnemi wadami, które z niego zwierzę czynią. „Bo gdy przypadnie wiosna, czyć to nie rozkosz z żonką, z czeladką, po sadkach, po ogródkach sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzać, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce zbierać, krzaki ochędożyć, okopać, zwirem osypać, bo tego trzeba, aby koło młodego drzewka chwast nie rósł. Też sobie wina i róźyczek możesz przysadzić, bo się to bardzo łatwo i za małą pracą przyjmie. Nuż też, jeśli masz pszczółki, tedy je też wczas podchędożyć. A nie masz-li, tedy

kup—święte to pół grzywny, co grzywna (dawny pieniądz) z niego urość może. A owieczki małyż pożytek przynieść mogą? Obliczże sobie, co ci wełna z nabiałem uczyni, jeśli je przez rok przechowasz?“

Tak Rej zachęca, żeby ze wszystkiego w gospodarstwie korzystać, a radzi przytem, żeby się z robotami nie opóźniać, rolę dobrze przygotować i na czas jarzyny posiać. „Nuż gdy przyjdzie gorące lato, czyż nie rozkosz, gdy to wszystko, coś na wiosnę robił, kopał, ślicznie ci dojrzeje? Przyjdzie jesień, ano ślicznie poorano, sieją, włóczą, śpiewają, ano serce rośnie, ano się nadzieją cieszysz, iż z tego, da Pan Bóg doczekać, na drugi rok pożytek urośnie.“

Tak w każdej porze roku Rej umie przyjemności wynaleźć, a gdy się go czyta, to aż miło się robi człowiekowi, i zaraz pomyśli: czemu to wszyscy ludzie z tak dobrej strony na życie nie patrzą?

A iluż to znajdzie się takich, co chodzą źli od samego ranka do wieczora. O nich Rej mówi: „Ujrzy taki kozę rano na dworze, to woła, biegając: A nie czas że było tego djabła dawno w pole wygnać? Ujrzy świnię w brogu, woła: Oto djabeł w brogu! Ujrzy śmiecie w izbie, to woła: A nie czas że wam było z izby tego djabła wymieść? Tak cały dzień będzie djabły z domu wyganiał. Czeladź potrwoży i pogromi, iż jedni się pokryją, drudzy biegają, jak szaleni, a on sam tak się ufrasuje, że mu się i jeść ledwie aż ku wieczorowi zachce.“ Dobrze to Rej opisuje i prawda, że takiemu gniewliwemu gospodarzowi ani się dobrze wiedzie, ani mu żyć przyjemnie, a dla wszystkich, co od niego zależą, i dla żony, dla dzieci, prawdziwie krzyż Pański. Jeśli zaś jeszcze ma zwyczaj upijać się, to już pożegnaj się ze szczęściem domowem. Bo co tu robić z takim pijanicą?

„Chciałbyś go—mówi Rej—poczciwemi słowy hamować, a on klekce, jako bocian. Zachce mu się śpiewać, aliści jako cielę beczy. Zachce mu się w tanek, aliści się ślizga, jak kozieł po lodzie. A we wszystkich sprawach podobniejszy jest do bestji niemej.“

Powiedziawszy o dzieciństwie, młodości i wieku dojrzałym człowieka, wskazawszy, co w tym wieku czynić, a czego unikać należy, Rej pisze wkońcu o starości szczęśliwej, a przyjemnej, radząc, by się wtedy czytaniem zajmować, bo to dla człowieka starszego największa już rozkosz na świecie. „Czyliż nie rozkosz, jeśli czytać umiesz, układłszy się pod drzeweczkiem między rozlicznymi, pięknymi a woniejącymi kwiateczkami, albo też w zimie w rozkosznem łóżeczku swojem, iż się rozmówisz z onymi starymi mędrcy, w których znajdziesz wielkie pociechy starości swojej wielką naukę ku każdej rozważnej sprawie swojej. A chceszli się też czem pocieszyć, czyliż nie znajdziesz onych rozkosznych historji o dziwnych sprawach ludzi rycerskich i ludzi poważnych, którym się i podziwować i z nich się ucieszyć możesz. A chceszli się też pośmiać, czyliż nie znajdziesz zabawnych historyjek onych mądrych ludzi, z których się i nacieszyć i nauczyć zawżdy czego możesz. A jeśli sam czytać nie umiesz, więc każ komu innemu. Przyjdzie do ciebie przyjaciel, czyż nie rozkosz, gdy się z nim namówisz, naśmiejesz, a on ci będzie opowiadał przygody, a przypadki ludzkie, co się komu przygodziło, a ty sobie jeno będziesz rozważał a wspominał, iż się też to wszystko działo za czasów onych młodszych lat twoich.“

Oto, co pisze Rej w swoim „Żywocie człowieka poczciwego.“ Wiele z tych uwag ciągle się słyszy i mówi: wszakże to jest ciekawe, że takiemi słowy prze-

mawia do nas człowiek zprzed lat trzystu, a rady jego jeszcze nie przebrzmiały.

Trzymając się tych zasad, jakie w swem dziele wyłożył, Mikołaj Rej z Nagłowic dożył lat sześćdziesięciu czterech. Zawsze wesoły, miał dowcip na zawołanie i wszystkich umiał w dobry humor wprowadzić. Kochali go też sąsiedzi, krewni, kochali go znajomi, a śmiało rzec można—znał połowę szlachty swych czasów.—W dzisiejszej guberni lubelskiej, przy drodze żelaznej między Lublinem a Kowlem, do dziś istnieje miasteczko Rejowiec, założone przez tego pisarza, który na to miał czas w czynnem swem życiu.

Umarł w roku 1569-m.

Jan Kochanowski.

Roku 1556-go szlachta sandomierska zjechała na azd licznie i hucznie, aby się naradzić o różnych sprach, jak to było w wieku 16-ym we zwyczaju. Przyył na ów zjazd pomiędzy innymi sławny już wówczas isarz, Mikołaj Rej z Nagłowic, znany z utworów wych, z dobrego humoru i fantazji.

Otaczali go poważni panowie i szlachta, prosząc powiedzenie czegoś zabawnego, powtórzenie którego drobnych wierszyków i fraszek uciesznych. Jak awsze bywało po naradach, zebrani kazali sobie poać jeść i pić i w towarzystwie miłem wesoło czas pędzali. Rej sypał, jak z rękawa, opowieści i wierszyi, słuchano więc z zajęciem jego dowcipów. Wtem z koła łodzieży wysunął się jeden, doradzając przeczytanie iersza przyjaciela swego, Jana Kochanowskiego, który

podówczas przebywał na dalekim zachodzie, w Paryż stolicy Francji. I niebawem rozległ się głos czytająceg

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem Panie wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś pan wszystkiego świata; Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają;
Tobie gwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie gwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk każde zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz w Swej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon nieśmiertelny Panie:
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,
Jeno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi.“

W miarę czytania, głos czytającego brzmiał cor silniej i potężniej, a na twarzach słuchaczy malowa się coraz większe skupienie. Snać każdy korzył s w myśli przed Tym Panem, który wszystko stworzy którego wszystko się boi, i słucha i spełnia rozkaz A wiersz płynął tak gładko, potoczysto, jak pieśń p bożna, grana w niedzielę na organach... Nie było t

wyrazów ostrych, chropowatych, wszystkie zlewały się z sobą mile dla ucha—i chciałoby się je ciągle słyszeć i powtarzać... Podobnych wierszy nikt z obecnych nigdy jeszcze w języku polskim nie czytał. To też cisza zapanowała taka, że, gdy przebrzmiały ostatnie słowa wiersza Kochanowskiego, można było słyszeć bicie własnego serca. Naraz podniósł się z ławy Mikołaj Rej z Nagłowic i rzekł z powagą: „Temu w poezji polskiej oddaję pierwszeństwo przed sobą!"—Potem zaczął powoli każdą myśl wiersza rozbierać, zachwycając się sposobem, w jaki ją poeta wypowiedział. Bo istotnie, komuby, szczególniej wówczas, przyszło na myśl powiedzieć, że niebo wygląda, jak uhaftowane gwiazdami, że Bóg nagość ziemi przykrył ziołami, że lato, niby jaka żniwiarka, w kłosianym wieńcu chodzi, a gnuśna zima wstaje do gotowego? Nie znano jeszcze wcale takich wyrażeń, jak nieobeszła ziemia, nieprzebrane wody i t. p. To też imię młodego, dwudziestoszescioletniego poety wszyscy dobrze zapamiętali, a wkrótce się ono z ust do ust po całym kraju rozeszło.

Jan Kochanowski urodził się w roku 1530-m w Sycynie, wiosce niedaleko Radomia, w ubogiej, lecz zacnej rodzinie szlacheckiej. Z początku uczył się w kraju, potem, dzięki staraniom matki, rozumnej i rządnej kobiety, wyjechał zagranicę do Włoch i Francji, skąd właśnie przysłał piękną ową pieśń, którą wyżej podaliśmy. W r. 1557-m, po śmierci matki, powróciwszy do kraju, dostał urząd przy dworze króla Zygmunta II Augusta, wówczas panującego.

Życie dworskie jednak nie było miłem dla poety. Nie umiał schlebiać nikomu, ani obronić się żartom niechętnych i zazdrosnych; przytem, na nieszczęście, pokochał gorąco jakąś możną pannę, która nie warta była jego miłości, bo nie rozumiała ani zdolności poety,

ani się poznawała na jego rozumie i charakterze, tylko szukała sobie bogatego męża. Udręczony był Kochanowski w towarzystwie ludzi, którzy, choć się z niego śmieli, właściwie, jak to się mówi, nie warci mu byli butów czyścić. Postanowił więc dwór opuścić i przenieść się na wieś, którą mu rodzice w dziedzictwie zostawili. W drodze działów z licznem rodzeństwem dostała mu się połowa Czarnolasu, wsi, leżącej w dzisiejszej guberni radomskiej, powiecie kozienickim, o 42 wiorsty od samego Radomia. Wprawdzie w części przeznaczonej dla poety nie było dworu, ale Kochanowski postanowił go zbudować, byle raz wyrwać się z miasta, gdzie nawet pisać nie mógł. Wychowany na wsi, przywykły do rozległych pól, lasów cienistych i łąk pachnących, dusił się w ciasnych murach i, pomimo że z początku musiał znosić niewygody, odetchnął lżej i swobodniej w skromnej wiejskiej siedzibie.

Cicho i spokojnie płynęło życie Jana Kochanowskiego, odkąd w swym Czarnolesiu zamieszkał. Wybudował sobie dom skromny, lecz wygodny i miły. Nie dbał o bogactwa, wiedząc, że wszystko łasce Boga zawdzięcza, i małem się zadawalniał; pragnął mieć tylko zawsze dobre zdrowie, sumienie czyste i ludzką życzliwość. Myśl tę w pięknym wierszu na domu swym wypisał:

„Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje,[1])
Raczysz błogosławieństwo dać do końca Swoje!
Inni niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają —
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.“

[1]) Zdarzenie -t. j. dzieło Twoje.

Niedarmo wieś Kochanowskiego Czarnym lasem się nazywała: wokoło rozpościerał się bór ciemny, który poeta wycinać musiał, by dom sobie zbudować i pola zbożem zasiać. Przed dworem przecie zostawił dużą, piękną lipę, pod którą lubił odpoczywać w dzień upalny, przyjmować gości i pisywać swoje śliczne wiersze.

Nieraz wspominał w nich o tej lipie ukochanej, a jeden wiersz tak ułożył, jakby samo drzewo do gościa mówiło:

„Gościu, siądź pod mym liściem i odpocznij sobie.
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się najwyżej wzbije, a proste promienie
Ściągną na twoją głowę rozstrzelone cienie.
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowik, tutaj szpaki wdzięcznie[1]) narzekają;
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci[2]) pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.“

Usławszy sobie wygodne gniazdko, Kochanowski pomyślał o tem, aby się ożenić. Właśnie zbliżała się wigilja Św. Jana, 23 czerwca, dzień, w którym od niepamiętnych czasów zawsze urządzano w naszym kraju zabawę, „Sobótką“ zwaną. Zwyczaj ten w niektórych okolicach do dziś dnia się przechowuje: chłopaki skaczą przez ognie, potem wszyscy biorą się za ręce, robią koło i śpiewają różne piosnki. Kochanowski całem sercem oddawał się tej zabawie, bo, kochając wieś, lubił też wszystkie jej przyjemności i zwyczaje mieszkańców wioskowych. Oto jak opisuje rozpoczęcie Sobótki:

---

[1]) **wdzięcznie**, znaczy—mile.
[2]) ***szlachci***—*znaczy*: uzacnia, zdobi.

„Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym lesie.
Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi.“

Siedli wszyscy na murawie, a dwanaście c czą̨t, jednakowo ubranych i przepasanych bylicą, wało pokolei dwanaście pieśni ułożonych przez K nowskiego. Była tam między zaproszonymi g panna Dorota Podlodowska, która się poecie bard: dobała: widać to ze słów, które kładzie w usta z dziewcząt wiejskich:

„Nieprzepłacona Doroto,
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami —
Toś ty jest między dziewkami.
Twoja kosa rozczesana,
Jako brzoza przyodziana;
Twarz jako kwiatki mieszane
Leliowe i różane;
Nos, jako sznur upleciony [1]),
Czoło, jak marmur gładzony,
Brwi wyniosłe i czarniawe,
A oczy dwa węgle prawie [2]).
Usta twoje koralowe,
A zęby szczere perłowe,
Szyja pełna, okazała,
Piersi jawne, ręka biała.
Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnej rozprawie [3]),
A kiedy cię pocałuję,
Trzy dni w gębie cukier czuję.
W tańcuś jak jedna bogini.
A co cię najmilszą czyni:

---

1) Nos jako sznur upleciony—znaczy nos prosty.
2) Prawie—prawdziwie.
3) Rozprawie—rozmowie.

Niemasz w tobie nic hardości,
Co jest rzadkie przy gładkości".

Niedługo potem odbył się ślub poety z panną Dorotą. Kochanowski czuł się szczęśliwym w swym wiejskim dworku, szczególniej gdy mu Bóg dał ślicznego aniołka, małą córeczkę Orszulę, która, podrósłszy, szczebiotem dom jego napełniła, a nawet jego wierszyki powtarzała.

Pierwsze te lata po ślubie Kochanowskiego, choć dla niego ciche i szczęśliwe, nie były przecież takiemi dla kraju całego. W roku 1572-m umarł Zygmunt August, ostatni król z rodziny Jagiellonów, która przez dwieście lat w Polsce panowała. Naród wybrał na króla księcia francuskiego Henryka Walezjusza. Ten jednak po dziesięciomiesięcznem panowaniu uciekł do Francji, skoro się tylko dowiedział o śmierci brata swego, króla francuskiego, a to z obawy, żeby go tron ojczysty nie ominął. Tak więc kraj znów został bez pana i trzeba było myśleć, kogo teraz wybrać, a lepiej i mądrzej, niż po raz pierwszy.

Wieść o ucieczce Henryka srodze zasmuciła Kochanowskiego, ale oburzył go pewien poeta francuski, co, choć dobrze i gościnnie w Polsce przyjmowany, teraz wyjechawszy z niej wraz ze swoim królem, napisał wiersz szyderski, gdzie się z nas wyśmiewał, ziemię naszą ze wstrętem wspominał, dziękując Bogu, że ją pożegnał.

Uniosło się za to gniewem szlachetne serce Jana z Czarnolasu, napisał więc odpowiedź, gdzie schłostał i ośmieszył Francuza: „Narzekacie—mówił—na ciężkie u nas mrozy, a obiecywaliście bić się z nieprzyjaciółmi. Jakżebyście znieśli wszystkie trudy wojenne? Dopieróżbyście uciekali z pola bitwy, kiedy i bez tego

umknęliście nocą! Lecz dobrze się stało: potrzebujemy ludzi odważnych, którzy się nie boją naszej zimy, a nie chcemy widzieć tchórzów i niewdzięczników.“

W jesieni roku 1575-go, w dniu 4-ym listopada odbył się sejm elekcyjny, czyli zjazd szlachty w celu obrania nowego króla po haniebnej ucieczce Francuza. Na ten dzień pospieszył do Warszawy i Jan Kochanowski.

Po wielu naradach, zwłaszcza za namową Jana Zamojskiego, obrano na królowę Annę Jagiellonkę, a na męża jej przeznaczono Stefana Batorego.

Niebardzo ten wybór podobał się Kochanowskiemu, ile że chciał na króla kogoś bardziej znanego w całej Europie. Powrócił wnet do swojego skromnego Czarnolasu, gdzie życie tak cicho i spokojnie mu płynęło, i czekał, jak się nowy pan w rządach swych okaże.

Aliści dnia jednego przed dworek czarnoleski zajechała bogata pańska kolasa, a z niej wysiadł znany nam Jan Zamojski. Należał on wówczas do najznakomitszych osób w kraju, Batory zrobił go bowiem jednym z najwyższych urzędników. Wielki to był zaszczyt dla Kochanowskiego, że taki pan do niego zajechał,—ale, kto ma rozum i taką zdolność pisarską, jak Jan z Czarnolasu, tego każdy oceni i uszanuje.

Poeta przyjął Zamojskiego z prawdziwie staropolską gościnnością, ale bez żadnej uniżoności. Pani Dorota Kochanowska dużo zapewne miała z przyjęciem kłopotu, podała jednak obiad co się zowie wspaniały pod cieniem owej lipy ukochanej. Po obiedzie gospodyni odeszła do swoich zajęć, a mężczyzni zaczęli rozmawiać o tem, co się w kraju dzieje, o nowym królu Batorym i o jego rządach.

Wiemy, że Kochanowski wolałby kogo innego widzieć na tronie; to przecież dobrze o nim świadczy, że,

idząc dzielność Batorego, przy swojem zdaniu się nie pierał. Gdy mu nadto Zamojski to i owo opowiedział, dy mu dowiódł, że Stefan nie malowanym chce być rólem, lecz prawdziwym, poeta zupełnie się do niego rzekonał i odtąd, gdy tylko mógł, chwałę jego głosił. 'ragnąc sobie ująć Kochanowskiego dla siebie i dla łatorego, Zamojski chciał mu nadać w imieniu króla :asztelanję bełską, co stanowiło wielki zaszczyt, bo :asztelan był jakby rządcą w powiecie. Musiał on jedıak żyć wystawnie, a dochody miał niewielkie. „Nie :hcę ja do domu puszczać pysznego kasztelana, któryby ;jadł to, co Kochanowski zarobił“ — rzekł skromny)oeta z Czarnolasu,—„nie lecę na tytuły, chcę życia ;pokojnego, cichego, piąć się nie będę do wielkich panów.“

„Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody,
O wsie, o miasta, o wysokie grody.
Ten pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem“.

Oniemiał Zamojski na tę odpowiedź, bo też niewieluby się znalazło, coby zaszczyt tak wielki odrzucili. Może też Kochanowski chciał pokazać, że nie za kasztelanję będzie kochał króla, lecz dlatego, że mu tak sumienie nakazuje, bo mówi w jednej pieśni:

„Służmy poczciwej sprawie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi wspólnemu pomoże.“

Po wyjeździe Zamojskiego z Czarnolasu, Kochanowski wziął się porządnie do pracy. Wtedy pisał on najpiękniejsze wiersze i tłomaczył „Psałterz Dawida“.

Wiadomo wszystkim, że król żydowski Dawid pisał pieśni *pobożne, psalmami* zwane. Były one tak piękne,

że tłomaczono je na wszystkie języki, więc i na polski, i to nie raz, ale wiele razy. W każdej książce do nabożeństwa można znaleźć te psalmy, ale pisane nie wierszami, lecz prozą, bo z obcego języka trudno jest wierszem tłumaczyć.

Lecz nie było w tem trudności dla Jana Kochanowskiego. Napisał on wierszem 150 psalmów, tylko nie tłumaczył słowo w słowo, lecz własne myśli, własne uczucia wypowiadał. W żadnym języku niema tak pięknych modlitw; to też je cenimy, zawsze je chętnie czytamy i uczymy się na pamięć. Któż bo, naprzykład, nie zna psalmu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu...“—choć nie każdy wie, że go Jan Kochanowski ułożył.

W psalmach poety naszego każdy człowiek pobożny znajdzie dla siebie stosowną modlitwę: znajdzie tam i uwielbienie dzieł Stwórcy, i dziękczynienie za Jego dobrodziejstwa, i żal za grzechy, i prośbę o pomoc w nieszczęściu.

W jednym z pierwszysh psalmów Kochanowski mówi:

„Ciebie będę, Boże prawy,
Całem sercem wyznawał,
Twoje wszystkie dziwne sprawy
Będę światu podawał.
Będę wesół w Twej obronie,
Będę wszechnajświętszemu
Przy łagodnej śpiewał stronie [1])
Imieniowi Twojemu.“

I rzeczywiście podaje światu wszystkie dziwne sprawy Boga, Jego wielkość i potęgę w tak pięknych

---

[1]) *Przy stronie*—strunie, znaczy przy muzyce.

słowach i z takiem uczuciem, że każdego zdumieć i przekonać musi. Oto np. psalm 8-my:

„Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?
Gdziekolwiek słońce rzuca strzały swoje,[1])
Wszędzie jest zacne święte imię Twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boże!
Twój czyn jest niebo; Twoich rąk robota
Gwiazdy, jaśniejsze od czystego złota;
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.[2])
A człowiek co jest, że Ty niestworzony
Wszystkiego twórca i Pan niezmierzony
Raczysz go pomnieć?[3]) Czem jest syn człowieczy
Godzien Twej pieczy?
Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z anioły ledwie nie położył;
Postanowiłeś go panem nad zacnymi
Czyny swoimi.
Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne,
On na powietrzu ptactwem, pod wodami
Władnie rybami.
Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony.“

Psalm osiemnasty Kochanowski zaczyna od słów:

„Ciebie ja, póki mi jedno żywota stanie,
Miłować ze wszystkiej duszy będę, mój Panie!

---

[1]) **Słońce rzuca strzały to jest—promienie.**
[2]) **Koło miesięczne—księżyc.**
[3]) ***Pomnieć,—pamiętać.***

Tyś moc jest i siła moja; Tyś jest zasłona,
Tyś zamek i twierdza, Tyś moja obrona.
Ciebie chwaląc, Twej wzywając możnej obrony,
Zawszem z rąk nieprzyjacielskich był wyzwolony."

Gdzieindziej zaś prosi Boga:

„Ty mię, mój Panie, nie racz odstępować,
Tyś moja siła, Ty mię chciej ratować,
A ja Twe Imię braci swej objawię
Wpośrodku zboru chwałę Twą rozsławię."

Psalmy błagalne, w których poeta prosi Boga o pomoc i siłę do przetrwania nieszczęść i zwalczenia nieprzyjaciół duszy, którzyby ją zgubić pragnęli, są prawdziwym skarbem dla każdego; niema bowiem człowieka, któryby w ciężkich chwilach życia Boskiej pomocy nie wzywał. Oto np. jedna taka modlitwa:

„Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz modlitwę moją i głos żałośliwy.
Nie proszęć, ale wołam, takem ja dziś z strony
Nieprzyjaciela mego wielce zatrwożony.
Wszystkie swoje podstępy na mnie obrócili,
Wszystką swą popędliwość na mnie wyrzucili,
A serce we mnie taje, siła odstępuje,
Śmierć przed oczyma lata, a mnie strach zdejmuje.
I mówię czasem sobie: Gdybyż człowiekowi
Wolno było tak latać, jako gołębiowi,
Leciałbym co najdalej między głuche lasy
I tambym wiek swój trawił i przetrwał złe czasy."

Od nieprzyjaciół świata gorszym jest grzech i dlatego o wiele większa rozpacz targa duszę poety w psalmie następującym:

„Boże, moja nadzieja i moja pomocy!
Do Ciebie wołam we dnie i w nocy,

Niechaj miejsce u Ciebie mają prośby moje,
Skłoń ku mnie ucho łaskawie Twoje.
Nieszczęście duszę trapi, troski niemasz miary.
Żywot już widzi prawie swe mary,[1])
Ciało zgoła już martwe, sił nie czuję w sobie,
Myśl moja wszystka tylko o grobie;
Leżę, jako zabity, pod ziemię włożony,
Od Ciebie i od świata wzgardzony.
Przecież ja, Panie! dokąd świeci dzień na niebie
Wołam i ręce ściągam do Ciebie.“

Dla pokutującego grzesznika jednak zawsze się najdzie odpuszczenie grzechów, bo Bóg jest w miłosierdziu nieprzebrany. Jakaż to radość dla człowieka, który złe drogi porzucił, jaka wdzięczność dla Boga, że go do prawdy doprowadził!

„Błogosław, duszo moja, Panu swojemu,
Błogosław imieniowi Jego świętemu;
Błogosław duszo Panu, Jego obfite
Dary niech zawsze będą w sercu twem wyryte.
Bo On odpuszcza wszystkie twe nieprawości
I zabiega chorobom i twej krewkości,
Żywot śmierci łakomej twój odejmuje,
A ciebie miłosierdziem Swem koronuje.
Bo On cię wszelakich dóbr hojnie nabawia
I twoją młodość, jako orlą odnawia,
Obrońca nieomylny źle obwinionych
I sędzia sprawiedliwy wszech ukrzywdzonych.“

Wszystkie uczucia, wyrażone w Psalmach, znalazł już w nich Kochanowski,—ale podobają nam się one w jego przekładzie o tyle więcej, o ile człowiek odświętnie ubrany od zabrudzonego przy pracy, w połatanem ubraniu. I piękna bowiem forma wierszowana jest jakby odświętną szatą naszych myśli. Często nawet

[1]) *Mary*, t. j. *śmiertelne posłanie*; w tym razie—śmierć.

nie wiemy, czemu piosnka najzwyczajniejsza tak i się bardzo podoba:—oto słowa w niej płyną łat gładko i mile w ucho wpadają, możnaby powiedzieć je pieszczą swym dźwiękiem. I modlić się przyjem tak pięknymi wyrazami. To też wiele razy od czasu pisania Psalmów, t. j. od trzystu lat przeszło, dru wano je, a zawsze rozkupiono wszystkie książk ostatniej. I w roku 1897 wydano znów „Psałterz wida“ „w Bibliotece dzieł wyborowych“ w taniem daniu. Tylko bardzo piękne książki tak długo lu pamiętają.

Gdy wreszcie Kochanowski wydał Psalmy, sł jego rozniosła się po całym kraju: wszyscy mó o poecie, co w tak pięknych słowach wyśpiewał chv Pana Zastępów. Odgłosy tej sławy dochodziły skromnego dworku w Czarnolesiu i zastawały p pod cieniem lipy z uśmiechem szczęścia na ust pieszczącego na kolanach śliczną małą dziewus z włoskami kręconymi, wesołemi oczętami i rumi twarzyczką. Była to ukochana córka Jana z Czar lasu, Orszulka, jego pociecha i nadzieja. Choć zale dwa latka liczyła, powtarzała już za ojcem łatwie wierszyki, albo sama takież układała.

—„To będzie moja następczyni, poetka, sławn sza odemnie,—myślał ojciec ucieszony;—jakże pię będzie pisała, gdy już w dzieciństwie taką zdoln okazuje.“ Chciał więc Kochanowski dziecko dobrze chować i nie zmarnować daru Bożego, którym był wielkie zdolności. Cały dzień prawie Orszulka z oj spędzała, a on jej mówił wierszyki, opowiadał o B i Jego dziełach, o ptaszkach i kwiatach i wodzie w s mieniu. Łatwo też i przyjemnie było wówczas p poecie, otoczonemu kochającą go rodziną, żyjąc

szczęściu i spokoju. W wielu jego utworach przebija ię to życie zaciszne.

Niema jednak stałego szczęścia na świecie. Po ilku latach spokoju i zadowolenia dosięgła naszego oetę zmienna kolej losu. Jego ukochana córeczka,)rszulka, nagle się rozchorowała i w parę dni umarła. V gorączce przed śmiercią maleństwo żegnało się z ro-.zicami, powtarzając wierszyki:

„Już ja tobie, moja matko służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę:
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz odjechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.“

Można sobie wyobrazić rozpacz nieszczęśliwego ojca, gdy drobne usteczka nazawsze się zamknęły. Ale każdy prawdziwy poeta w smutku, równie jak w radości, czuje potrzebę wypowiedzenia tego, co ma w duszy; lżej mu, gdy swą boleść wypisze, wypowie, z innymi się podzieli. Czuje on zaś silniej, niż zwykli ludzie, boć to właśnie jego uczucie wielkie każe mu pisać takie piękne rzeczy, które potem inni czytają, a w których własne swe myśli i uczucia znajdują.

Jan Kochanowski, straciwszy Orszulkę, żal ogromny a szczery wypowiedział w dziewiętnastu tak zwanych Trenach, czyli pieśniach żałosnych. Każdy taki tren, osobno wzięty, jest śliczny, ale trzeba je dopiero znać wszystkie, aby zrozumieć, czem była Orszulka dla ojca.

Przypomina sobie poeta jej słowa, zabawy; żałuje, że mu ją dał Bóg po to, aby tak prędko odebrać, i pragnie za nią iść do wieczności. To znów złorzeczy śmierci nielitościwej, która przeszkodziła temu, aby Orszulka na wzór ojca piękne wiersze pisała.

„Prędkoś nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Smierć spłoszyła, moja miła szczebiotko droga!

Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami.“

Widok ubrania, pozostałego po dziecinie, spra\ poecie przykrość ogromną. Cały dom mu jest pus bez tej małej istotki, a tę pustkę tak tkliwie i żałoś opisuje, że na płacz się zbiera, czytając tren ósmy:

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tem zniknieniem twojem;
Pełno nas, a jak gdyby nikogo nie było,
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała,
Wszystkieś w domu kąciki zawżdy przebiegała.
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowę psować:
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.“

Chciałby Kochanowski choć we śnie ujrzeć s dziecinę i o tę łaskę prosi wkońcu Boga.

Ostatni tren, dziewiętnasty, jest opowiadan o śnie, który poetę ostatecznie uspokoił. Zdawało się, że jego nieboszczka matka przyszła do niego z m Orszulką na ręku.

„Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano się ruszyła:
Koszulka biała na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy do śmiechu skłonione.“

Gdy poeta przypatrywał się Orszulce, matka wiła mu w owym śnie, ażeby się śmiercią córeczki *martwił, bo* ona jest między aniołkami w niebie:

„Twój nieutulony
Płacz, synu mój, przywiódł mnie w te tu wasze strony
Z krain bardzo dalekich, i łzy gorzkie twoje!
Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziewkę twoją,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze. a tę swoją
Serdeczną żałość ujął, która tak ujmuje
Sił twoich i tak zdrowie twe nieznacznie psuje.
Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilsza Orszuleczka żywie.“

Na trenie dziewiętnastym Kochanowski kończy swe żałobne śpiewy. Ale niedługo nowa boleść go dojmuje. Umiera druga jego córeczka, Hanna. Teraz już serce poety jest jakby skamieniałe od wielkiego bólu. Nawet nie pisze, nie może żalić się i płakać, cztery tylko wiersze poświęca pamięci Hanny.

W parę lat po śmierci córek nowe nieszczęście nawiedza rodzinę Kochanowskiego. Turcy zabijają szwagra jego i przyjaciela, Jakóba Podlodowskiego, jadącego po zakup koni do stajni królewskich. Ponieważ Podlodowski był koniuszym Stefana Batorego, Kochanowski chciał prosić, by się król ujął krzywdy swego sługi. Właśnie Stefan Batory miał z Grodna przybyć do Lublina, tam więc wybrał się poeta.

Król dał mu posłuchanie; myślał on o wojnie z Turkami i może byłby chętnie za powód podał zabójstwo swego koniuszego. Gdy jednak Kochanowski wszedł na pokoje królewskie, gdy ze wszystkich stron zaczęli go witać panowie, jako wielkiego poetę, i garnęli się, by mu rękę uścisnąć,—zbyt silnie wzruszony czcią, okazywaną mu przez wszystkich, Jan z Czarnolasu padł, rażony apopleksją. Stało się to w roku 1584-m.

Śmierć tak nagła i przedwczesna, bo w 54-ym roku życia, *zabrała* największego poetę szesnastego

wieku, który pierwszy pokazał, jak język nasz piękny jest i bogaty.

Rej bowiem pisał mową prostą, zwykłą, jakiej się codzień używa, Kochanowski zaś starał się myśl każdą wypowiedzieć jakj można najpiękniej, najmilej dla ucha.

Mieszkańcy okolic Radomia może przejeżdżać będą kiedy przez wieś Sycynę i nieopodal leżący Zwoleń. Niechże poszukają w kościele zwoleńskim nagrobka Kochanowskiego z czerwonego marmuru. Wystawiono tam pomnik poecie, jako w kościele najbliższym jego wsi rodzinnej Sycyny i ukochanego Czarnolasu.

Sebastjan Klonowicz.

Śmierć Jana Kochanowskiego smutnem echem odbiła się w sercach wszystkich, bo też tacy, jak on, ludzie na kamieniu się nie rodzą. Kto dorówna śpiewakowi z Czarnolasu?—pytali jedni drugich,—kto teraz tak rzewne i piękne wiersze będzie pisał?

W Lublinie, gdzie, jak wiemy, umarł Kochanowski, mieszkał podówczas skromny mieszczanin, Sebastjan Klonowicz. Próbował on pisać po polsku i po łacinie, ale czuł dobrze, że mowa nie układa mu się tak pięknie i dźwięcznie, jak Janowi z Czarnolasu, że niema w jego wierszach tej gładkości i śpiewności. Więc żal prawdziwy ścisnął jego serce, gdy się dowiedział, że tamten śpiewak zmarł tak nagle i niespodziewanie, że nie ucieszy go już swemi pieśniami... Smutek ten Klonowicz po śmierci Kochanowskiego spróbował wypowiedzieć w jedenastu żalach, naśladujących

ыny Kochanowskiego po śmierci Orszulki, ale sam
ostrzegł, że one do tamtych są niepodobne, więc
końcu, zwracając się do zmarłego, mówi skromnie:

„Przetoż, szczęśliwa duszo, te wiersze na grobie
Przyjm z wdzięcznością odemnie, albo wstań, pisz sobie.“

Długo nie było poety, coby tak pięknym, jak Koianowski, pisał językiem. Ale i utwory Klonowicza, oć nie tak śpiewne, wkrótce zasłynęły. Tylko były e inne, niż poezje Jana Kochanowskiego, jak innem pełnie było życie tych dwóch pisarzy. Przyglądaliśmy ę zacisznemu szlacheckiemu dworowi w Czarnolesiu, ójrzmy teraz na życie poety mieszczanina.

Sebastjan Klonowicz urodził się w roku 1545-ym Sulmierzycach, miasteczku dawnego województwa liskiego, na pograniczu Śląska.—Ojciec jego, wójt możny i rozumny, pomyślał o tem, aby dać synowi ukę, która w owych czasach mieszczaninowi więcej zcze, niż szlachcicowi, była potrzebna, gdyż ona łynie dawała mu szacunek ludzki i jakieśkolwiek aczenie. Dzięki więc staraniom rozumnego ojca, bastjan uczył się najpierw w miasteczku rodzinnem, otem w Akademji krakowskiej, gdzie też nauczył się skonale zasad języka ojczystego, gdzie poznał poetów ińskich i swoich nie zaniedbał. Aby się więcej zcze w świecie przetrzeć, a i chleba gdzie lepszego szukać, Klonowicz wybrał się teraz do Czech i Węr na wędrówkę, a wkońcu wrócił do kraju, ale już w Kaliskie, lecz do miasta Lwowa, w dzisiejszej Gai wschodniej nad rzeką Pełtwią, wpadającą do Bugu. n poznano się wkrótce na jego nauce i zrobiono go ędnikiem przy zarządzie miejskim.

Przepędziwszy lata dziecięce w nizinnej i jednonej równinie Wielkopolskiej pod Kaliszem, Klonowicz

nie mógł się nacieszyć pięknością nowej siedziby, położonej w okolicy górzystej, w blizkości Karpat. Wiadomo, że w górach zawsze jest większa rozmaitość widoków. Zamiast jednostajnych, równych pól, przerzniętych wązką strugą, lub szeroką a leniwą rzeką, znajdujemy tu wzgórki, pocięte w kwadraty zbóż różnobarwnych, niby szachownice; doliny i parowy zielonym gąszczem zarosłe, potoki rwące szybko po kamieniach, a wyżej lasy czarne, lub też nagie skały i pastwiska obszerne, wszystko splecione z sobą, a przecie coraz to coś innego. Taka miejscowość musiała się podobać Klonowiczowi; jako poeta, widział on piękność natury, sercem ją odczuwał, nie przechodził koło niej, jak inni, niby z bielmem na oczach. A i bogactwo tej krainy znacznie było większe, niż w jego stronach rodzinnych. Tam ziemia urodzajniejsza i miasta większe, ruchliwsze, bo leżące na traktach handlowych ze wschodu na zachód i z południa na północ.

Zachwycony, rozkochany w tej ziemi pięknej a bogatej, Klonowicz chce, by wszyscy ją znali i podziwiali, pisze więc: „Opis ziemi Czerwonej Rusi,“—lecz nie po polsku, bo przeznaczony nietylko dla Polaków, a dla wszystkich ludzi wykształconych, którzy zazwyczaj język łaciński znali. Dopiero przed kilkudziesięciu laty inny poeta, Ludwik Kondratowicz, zwany Syrokomlą, przetłomaczył „Ziemię Czerwonej Rusi“ na język polski. Jakąż tam dumę czuć w każdym wierszu, gdy np. Klonowicz mówi:

„I nasza ziemia w dowcip nieuboga:
Zdroje ożywcze są w naszej ojczyźnie
I piękne rzeki posiada Ruś stara,
Któremi niwy skrapiają się żyźnie,
A w rzekach naszych jest ryb co niemiara.
. . . . Są góry na Rusi,

I my zaiste mamy Alpy[1]) nasze!
Patrz, góra lwowska czy zdać się korzystnie?[2])
Bodzie obłoki jej olbrzymia głowa."

Narodom południa i zachodu, np. Włochom, albo rancuzom, którzy przybyli do nas z Henrykiem Walejuszem, zdawało się nasze powietrze bardzo chłodnem, zimach dziwy opowiadali i okropnie bali się naszych rozów, bo u nich w kraju nigdy tak silnych nie bywa. latego to Klonowicz pisze, do nich się zwracając:

„Niech wieść fałszywa po świecie ogłasza
O naszych mrozach, zimie i jesieni;
Kłamstwo zaiste, że się łąka nasza
Zpod wiecznych śniegów nigdy nie zieleni,
Że nasza socha rozedrzeć nie może
Ziemi zakrzepłej mroźną niepogodą:
Puszczamy strugi, a to nasze zboże
Rozdajem światu i lądem i wodą."

Prześlicznie poeta opisuje lasy, strumienie, rzeki, oliny, chóry ptactwa wszelakiego: to, co tak proste, że ażdy z nas ledwo niekiedy wspomni, a przecież tak piękе. Lecz, zachwycając się naturą, poeta widzi, że ludziom a niej nie jest tak dobrze, jakby być mogło i powinno. właszcza serce jego ściska się na myśl, że kmiecie są v nędzy, że nie widzą nawet, jak pięknym jest ten wiat Boży, nie uczą się poznawać dzieł Stwórcy i roumieć, co życie ułatwić i uprzyjemnić może:

„Nie myśl, że dola pasterzy wesoła:
Czarna ich dola i dotkliwa nędza.
Tu małe dziecię nie wie, co to szkoła,
Błąka się w lesie i trzodę zapędza,

---

[1]) Alpy—najwyższe góry w Europie.
[2]) Czyć zda się *korzystnie*—znaczy:—czy ci się podoba.

Żyjąc z bydlęty, staje się, jak zwierzę,
W służebnej nędzy rodzi się i rośnie.“

Mało jeszcze wówczas ludzi czuło niedolę kmieci; zdawało się naturalnem, że chłop dla pana odrabia pańszczyznę, bo nietylko u nas, lecz i w całej Europie tak było, że ludzie swych braci za bydło prawie uważali. Klonowicz, jako mieszczanin, sam nieraz czuł to upokorzenie. Dlatego ze smutkiem i goryczą mówi zawsze o wieśniakach i mieszczanach. Wszelka nędza, niedola i ciemnota duszę jego głęboko przejmuje.

Czy naprzykład mało widnieje życzliwości jego dla ludu, gdy mu się serce kraje, skoro patrzy na pijaństwo i jego skutki:

„Nie wiem, zaiste, kto w pierwszej osnowie
Ognisty napój wymyślił, gorzelnie,
Kto jest ów zbrodniarz i jako się zowie,
By go przeklęctwu oddać nieśmiertelnie.
Ktoś bierze dochód, a wieśniacy dzicy
Piją, choć cierpią, choć pierś się przepala.
Pijąc, przeklina truciznę paloną,
A traci na nią wszystko do szeląga.
A choć gorączka przepala mu łono,
Na nowo rękę do czary [1]) wyciąga.
O! żaden napój, ani żadna praca
Tyle nie ogni, nie waśni na świecie.
Tak słabną siły, dzielność się utraca
I marnie idą najpiękniejsze lecie [1]).“

Za tę miłość Klonowicza dla ludu miłością i poznaniem pism jego odpłacić mu winniśmy.

Po kilku latach pobytu we Lwowie Klonowicz przeniósł się do Lublina, gdzie dostał lepszy urząd W tym też czasie poznał się i zaprzyjaźnił z Józefem

---

[1]) Do czary — do naczynia z wódką.
[1]) *Lecie* — znaczy lata.

Wereszczyńskim, opatem klasztoru sieciechowskiego Benedyktynów. Często Klonowicz jeździł do Sieciechowa na serdeczne pogawędki z Wereszczyńskim, który cenił w poecie rozum i zasięgał jego rady i pomocy w załatwianiu rozmaitych spraw klasztornych. Oddał mu nawet w dzierżawę wieś klasztorną Psary, widząc, że Klonowicz niewiele ma dochodu ze swego urzędu miejskiego.

Ze zbożem OO. Benedyktynów jeździł wówczas Klonowicz dwa razy do Gdańska, przy ujściu Wisły, dokąd z całej Polski plony zwożono i sprzedawano kupcom zagranicznym, którzy je na okrętach po Europie rozwozili. Podróż po Wiśle, poznanie nowych okolic, widok mórz i ogromnego handlowego miasta,—wszystko to wywarło silne wrażenie na Klonowiczu. Wydała mu się cała podróż do Gdańska tak ciekawą i pouczającą, że postanowił ją opisać i to już nie po łacinie, lecz po polsku, bo ją dla Polaków, jeżdżących ze zbożem Wisłą, przeznaczał. Tak powstał „Flis"—czyli żegluga, utwór wydany w r. 1595-ym.

Klonowicz był nieprzyjacielem handlu morskiego z zagranicą, gdyż zboże wywożono, a pieniądz za nie do kraju nie wracał, bo za granicą na zbytki go wydawano.

Chciałby Klonowicz, żeby nikt że zbożem nie jeździł do Gdańska, przekonywał, że kraj sam w sobie jest bogaty i może wystarczyć na własne potrzeby.

Że jednak wiedział, iż to jego mówienie nie zda się na nic, pragnął, aby ludzie wiedzieli coś o tych okolicach, przez które wypadnie im przejeżdżać. Dlatego wspomina o miastach i ziemiach nad Wisłą: o Warszawie, Nowym-Dworze, Wyszogrodzie, Płocku, Toruniu i t. d.

Od flisaków*) Klonowicz słyszał rozmaite po-

---

[1]) *Flisacy są to ludzie,* którzy zajmują się żeglugą na Wiśle

wieści, które w opisie swym przytacza. Jedną z n: ładniejszych jest powieść o Narwi. Rzeka ta wpada Wisły pod Nowym-Dworem, ale że płynie z pusz bagnistych, wodę ma ciemno-niebieską, gdy Wisła ı odcień szaro-żółtawy. O kawał drogi od ujścia Nar widać jeszcze najwyraźniej jej ciemne wody z prav strony w korycie Wisły. Klonowicz opowiada, że Nare niby jaka panna, zazdrosna była o swoją piękność.

„Szła para panien, każda z nich z osobna
Gwieździe podobna."

Te panny—to Wisła i Narew. Zapragnęły dow: dzieć się, która z nich ładniejsza, i kazały sąd: strumieniowi, wpadającemu do Wisły. Gdy ten przyzı pierwszeństwo królowej rzek naszych—Wiśle, Nar(rozgniewana oddzieliła się od niej.

„Narew i z bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała,
A miejsce sądu na brzegu na lewem
Nazwano Gniewem."

Istotnie, na lewym brzegu Wisły, przy ujśc drobnej rzeczki Wierzycy, leży duże i handlowe mias Gniew, o sześć mil od Gdańska. W tem właśnie miejs od Wisły oddziela się odnoga, Nogatem zwana.

Tak przeplatając opis ciekawemi i zabawne historjami, Klonowicz doprowadza czytelnika do Gda ska, gdzie, żegnając się z nim, radzi mu, by nie dał : oszukać faktorom żydowskim.

Życie w Lublinie nie bardzo było miłem Klon wiczowi, dostarczało mu ono trosk ciągłych i zma twień, i to od najbliższych, a przedewszystkiem od żon Była to córka bogatego mieszczanina lubelskiego; Kl

nowicz wziął za nią sklep i kamienicę w posagu. Ale cóż stąd, gdy dostał kobietę złą, która mu drogę życia cierniami usłała. Ciągłe krzyki, awantury wyganiały poetę z domu, a między ludźmi wstyd mu było się pokazywać.

W takiem życiu poeta zgorzkniał; ludzie i świat wydali mu się źli i wstrętni. Nawet urząd miał taki, że się ciągle ze zbrodnią spotykał. Był ławnikiem, potem wójtem Lublina, a wkońcu sędzią miejskim przez długie lata. Gdyby Klonowicz nie kochał ludzi, to łatwiej pogodziłby się z tem, że jest tak wiele złego na świecie. Ale było to serce gorące, odczuwające silnie wszelką boleść, niedolę, nieszczęście. On cierpiał nad tem, że ludzie wzajemnie tyle krzywdy sobie wyrządzają, chciałby ich nauczyć, poprawić, poprowadzić na drogę cnoty... Wykazywał więc złe, wytykał błędy śmiało i otwarcie, zarówno biednym, jak bogatym.

Cóż stąd? Ludzie odsunęli się od niego, obrzucili go błotem, a możni prześladowali, mszcząc się za to, że dostrzegł i wykazywał ich niegodziwość. Odebrali mu dzierżawę klasztorną, a książkę, w której najbardziej na nich powstawał, spalili, niby heretycką. Bo i jakże na to się odważył, by walczyć z przesądami! Ale poeta ten zanadto kochał ludzi i prawdę, by mógł milczeć; on pisze:

„Prawdę świętą wyświetlaj; kto prawdę zaciera
I gmatwa rzeczy ludzkie,—Boga się zapiera.“

Napatrzywszy się, jako sędzia, rozmaitych zbrodni, Klonowicz postanowił wykazać ludziom, jak niemi Boga obrażają. Napisał więc książkę pod bardzo dziwnym tytułem: „Worek Judaszów.“ Wiecie zapewne, czytelnicy, że Judasz Iskarjota przechowywał pieniąż-

dze, które inni uczniowie, towarzyszący Chrystus zarabiali lub dostawali, i był jakoby szafarzem, rozdawcą tego wspólnego dobra. Ten obowiązek jec wyrobił w nim taką chciwość, że wkońcu dopuścił grzechu najstraszniejszego: sprzedał nieprzyjacio Pana i Mistrza swego, Jezusa Chrystusa, za trzydzi srebrników. Klonowicz opowiada, że podły ten zdr nosił pieniądze w torbie, zszytej z czterech skór: czej, lisiej, rysiej i lwiej.

Oto, jak opisuje on Judasza:

„Pytasz mię, kto idzie w tej szafrannej szacie[1])
I z tą brodą cisawą?[2]) Tak ci powiem, bracie:
Jestto ów Iskaryot, Chrystusa spiżarny
Szafarz, lecz na swą stronę wielce gospodarny.
Co Panu dano albo naśladowcom Jego,
To się wszystko w torbie zostało u niego.
Ten pstry worek u pasa, wszak go baczysz [3]) i ty
Jest z rozmaitej skóry misternie uszyty.“

Tak właśnie zwykle Judasza sobie wyobraż żółta broda i ubranie miały oznaczać podłość, dawniej koloru żółtego bardzo nie lubiono. Worek zszyty był dlatego z 4-ch skór, że Judasz łączył w s zbrodnie czterech najdrapieżniejszych zwierząt. Kl wicz mówi, że pomiędzy ludźmi wielu jest do Jud: podobnych, tylko każdy część jego grzechów m: sumieniu:

„Jedni rzeczy dostają sposobem tajemnym:
Ci są wilkom podobni, bo dobrego mienia
Z cudzej pracy dostają...
Drudzy prośbą, pochlebstwem, albo też zmyślonem

[1]) w szafrannej szacie—znaczy w żółtem ubraniu.
[2]) cisawą—rudawą.
[3]) baczysz—widzisz.

Nabożeństwem biorą chleb ludziom omamionym:
Tych lisowi chytremu możesz przypodobić.
Ryś nakrapianą skórą fałsz i zdradę znaczy,
Bowiem oszust, jako chce, tak się przeinaczy.
Czwarty rodzaj tyraństwem i mocą nadrabia:
Tak cudzy pot i pracę do siebie przywabia“—(lwia skóra).“

Tak określiwszy cztery rodzaje zbrodniarzy, Klonowicz mówi o każdym z osobna. Do pierwszego zalicza złodziei, a mówi o przeróżnych. Opowiada np. o Cyganach, którzy nietylko kradną, ale i głupiemi wróżbami oczy zamydlają, o oszustach, którzy podstępnie ludzi z kraju wyprowadzają, obiecując im bogactwa, a potem ich Turkom na targach sprzedają, co się wówczas często zdarzało. Za złodziejstwo również poeta uważa, kiedy się kto dobija o urzędy i przepłaca wyborców nie dlatego, aby dobrej sprawie służyć, lecz by samemu się wzbogacić, bo nawet nie umie dosyć, aby z pożytkiem dla kraju pracować:

„Mówi, że go obrano z godności, z zasługi,
Ano dobrze nie umie i pacierza drugi.
Judasza ma na myśli ów nienasycony
Mieszek; do niego zdobycz niesie z każdej strony.“

Aby odstraszyć od zbrodni, Klonowicz opowiada, jakie za nie kary są w użyciu, i z tego przekonać się możemy, że dawniej ludzie o wiele byli okrutniejsi, niż dzisiaj. Teraz już rozumiemy, że gdy człowiek źle robi, to go należy nauczyć, oświecić, błąd mu pokazać i grzech zohydzić. Dlatego np. w Studzieńcu jest zakład dla małoletnich zbrodniarzy, gdzie, zamiast karać, uczą pracy i bojaźni Bożej. Możemy się spodziewać, że w przyszłości i w więzieniach dla starszych będzie coś podobnego, bo gdy ludzie raz poznają drogę, wiodącą do prawdy i sprawiedliwości, to postępować

będą po niej coraz dalej. Lecz dawniej myślano, że, gdy kto wielką zbrodnię popełni, trzeba go ukarać śmiercią i to nie spokojną, krótką, lecz jak najokrutniejszą. Opowiada Klonowicz, że gdy kogo złapano na tem, że sprzedaje ludzi, to do obu nóg jego zaprzęgano po koniu i gnano każdego w inną stronę, aż się nieszczęsny winowajca rozerwał na dwoje. Aby się dowiedzieć prawdy od podsądnego, męczono go najokropniej na torturach: palono skórę żelazem, rozgrzanem do czerwoności, albo płomieniem świecy; wyciągano człowieka na śrubie, jak strunę, i wywracano mu łopatki.—Oczywiście, gdyby nie było kary, toby nie było miary, lecz taka kara budzi w ludziach zwierzęce popędy: w zbrodniarzu — nienawiść i wściekłość, zamiast pokory, a w sędziach i świadkach — okrucieństwo bezmierne, zamiast litości dla grzesznika, który często źle postępuje dlatego, że go nie nauczono być dobrym.

Wyliczywszy wszystkie rodzaje kradzieży, Klonowicz zastanawia się nad tem, co jest ich przyczyną, i dochodzi do przekonania, że chciwość i próżniactwo:

„Szanuj sławy uczciwej, jak skarbu drogiego,
Baw się pracą, gnuśnego strzeż się próżnowania,
Sprawuj rzeczy poważne, niechaj[1]) błaznowania,
Pomni[2]) na zakon Boży i na bojaźń Jego,
Strzeż swojego ubóstwa, nie pragnij ludzkiego."

Oto jaką radę daje nam poeta. I rzeczywiście, napewno powiedzieć można, że gdyby każdy szczerze pracował, a dodajmy—umiał pracować, gdyby nie zazdrościł bogatszemu, nie chciał mieć coraz więcej i więcej bez końca, nie byłoby na świecie złodziei, bo każdyby się swojem zadawalniał.

---

[1]) niechaj znaczy—zaniechaj.
[2]) *pomni* - pamiętaj.

W drugiej części książki „Worek Judaszów," Klo-
)wicz mówi o lisiej skórze, więc o tych świętoszkach,
) wyłudzają pieniądze, żebrzą, a niby bardzo są po-
)żni. Nie pamiętają o tem, że najpierwszym obowiąz-
em człowieka jest praca, a największą cnotą—prawda
życiu, czyli prawość, która się brzydzi kłamstwem
fałszem.

„Zakrywa się kostyra[1]), złodziej w brzydkich szatach,
Zakrywa się niecnota młody w starych latach,
Obwija ręce, nogi, chociaż go nie bolą,
Mogąc rzemiosło robić, mogąc orać rolę,
Czyni się głuchym, niemym, ślepym i kaducznym[2]),
A on łotrem wierutnym."

I ci są także do Judasza podobni, co niby z pra-
em są w zgodzie, ale nie według sumienia postępują.
ie można ich ukarać, bo niema świadków, dowodów,
przecie są oni i złodziejami i oszustami obrzydłymi,
zkodliwszymi jeszcze od innych, bo trudniej ich złapać
a gorącym uczynku. Pomyślmy, ile taki oszust złego
ioże innym zrobić, ilu ludziom nieszczęście zgotować!
'akich to podstępnych oszustów Klonowicz w 3-ej części
ısiążki do rysia porównywa. Zwierzę to z budowy
iała podobne do kota, lecz znacznie od niego większe
drapieżniejsze, ma sierść rdzawo-brunatną, nakrapianą.
'amieszkuje miejscowości górzyste i nieraz godzinami
zatuje na drzewach, a gdy ujrzy jelenia, sarnę lub
nne zwierzę, wskakuje mu nagle na grzbiet i wpija się
)azurami w ciało. Tak samo oszust czyha na swe
)fiary. Czy np. lichwiarz nie jest zupełnie do ry-
ia podobny? Wielu ludzi wie z doświadczenia włas-
ıego, inni z losu przyjaciół i sąsiadów, że, jak taki się

[1]) Kostyra znaczy gracz, szuler.
[2]) kaduczny—chory na wielką chorobę.

do kogo przyczepi, to jakby mu się wpił pazurami, pozbyć go się nie można—długi małe z początku rosną i rosną do śmierci. I to też znane rzeczy, że ciemnym, niepiśmiennym każą podpisywać się na sumę większą, niż pożyczyli, że pijakom dopisują, ile się im podoba, że ich umyślnie do gorzałki namawiają. Ale Klonowicz i mniejsze oszustwa wytyka, takie, z których sobie wielu nic nie robi, nie uważa za potrzebne nawet się z nich spowiadać.

„Jeśli taisz i milczysz warunki i wady
Rzeczy, którą przedajesz,—już eś winien zdrady.
Jeśli bydlę udajesz ułomne za zdrowe,
Jeśli towary zgniłe i niewarunkowe
Za świeże i warowne przelichwanić godzisz,
Zacierasz złe przymioty i tak ludzi zwodzisz:
Jużeś rysiem, braciszku, jużeś mi utonął
U Judasza w kalecie, już cię czart ozionął“.

Czytając pisma Klonowicza, czujemy, że to był człowiek naprawdę uczciwy i szlachetny; takiemu na słowo we wszystkiem wierzyćby można, on nigdy napewno kłamstwem ust nie splamił i zawsze śmiało wszystko wypowiadał. Lecz prawda kole w oczy,—mówi przysłowie; nie wszyscy lubią jej słuchać, nie wszyscy pozwalają mówić ją sobie. Ludziom możnym, bogatym, silnym zdaje się częstokroć, że ich sądzić nikomu nie wolno, i rzeczywiście trzeba mieć wiele odwagi, aby ich zganić, bo się mszczą na tych, którzy im błędy wykazują. Klonowiczowi zbrakło już tej odwagi; gdy pisał „Worek Judaszów,“ mówi on o lwiej skórze, t. j. o możnych okrutnikach: „strach o tej skórze pisać“—i kończy na tem utwór.

Niezawsze jednak nasz poeta cofał się przed powiedzeniem prawdy możnym. Jest jeden jego utwór łaciński, gdzie bardzo silnie domaga się sprawiedliwoś-

ci dla najbiedniejszych, zwłaszcza dla kmieci, którzy w jego czasach odrabiali pańszczyznę. Klonowicz upomina, aby z nimi po ludzku postępować, mówi, że *szlachcicem* prawdziwym jest tylko ten, kto *szlachetnie* postępuje, że okrutnik nie zasługuje na tę nazwę. Zaprawdę trzeba było na to odwagi, by, będąc samemu mieszczaninem, ośmielić się taką prawdę mówić.

Ale taka to już była czysta i prawa natura tego człowieka, że na niczyją krzywdę patrzeć nie mógł. Życie wiodło go po cierniach, mało zaznał szczęścia, a wielu smutków i cierpień, więc też już tak przywykł, że zawsze najjaśniej widział to, co było najgorszego, najsmutniejszego. Co innego np. Rej, który był dzieckiem szczęśliwem, potem w życiu mu się powodziło, ludzie go kochali, biedy nie zaznał: to też we wszystkiem widział roskosz i przyjemności same. Inne było życie Klonowicza: ciągłe przykrości domowe, ciągły widok zbrodni ludzkich, które, jako sędzia miejski, musiał roztrząsać, nie mogły go wesoło usposabiać. Czuł i widział, że wiele jest złego na świecie, ale i to rozumiał, że trudno wszystko złe usunąć. A tak mogłoby być dobrze, gdyby ludzie szczerzej się kochali i uczciwie postępowali, bo wszak tak pięknym Bóg ten świat stworzył, tyle bogactw dał człowiekowi! Oto mówi poeta we Flisie:

„Ziemia polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie:
To też Polakom na niczem nie schodzi,
Wszystko się rodzi.“

I dziś świat jest pięknym, ziemia bogata rodzi obficie, lecz i dziś, na nieszczęście, ludzie wzajemnie życie sobie psują przez złość, chciwość, zazdrość, przez brak miłości bliźniego i brak sprawiedliwości względem

innych. Tak jest; ale można też zauważyć, że jednak, choć powoli, ziarno dobre wschodzi i ludzie stają się mniej okrutni, a więcej sprawiedliwi. A dlaczego? Bo coraz więcej ludzi uczy się, przez naukę wznosi się coraz wyżej, rozumie i czuje wiele rzeczy, których dawniej nie pojmowano. Przez naukę dochodzimy do poznania świata i siebie samych, do zrozumienia, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, że uczciwie i zacnie pracować powinniśmy, aby ludziom lepiej się działo. Tylko praca wszystkich szczęście wszystkim przyniesie.

Poeci miasta Lwowa.

Pamiętacie zapewne, że Klonowicz przez jakiś czas, mianowicie od r. 1570 do 1574-go przebywał we Lwowie i opisywał to miasto w utworze p. t. „Ziemie Czerwonej Rusi.“ Nie przypuszczał on zapewne, że w tym czasie wychowywał się tam inny poeta Szymon Szymonowicz, o którym miało się dowiedzieć z czasem wielu ludzi nietylko w Polsce, lecz i za granicą. Wówczas był to wyrostek kilkunastoletni, urodził się bowiem w r. 1558.

Niedarmo Klonowicz zachwycał się Lwowem w opisie Ziemi Czerwonej Rusi. Śliczne to było miasto, malownicze, w górzystej miejscowości. Opowiadają, że jeszcze w 13-m wieku, gdy napadli na Europę po raz pierwszy dzicy Tatarzy, książe ruski Lew (Leon), czy też ojciec jego Daniel upatrzył wygodne miejsce obrony przeciw nieprzyjaciołom na górze, zwanej później *Zamkową*. Tam wybudował silny zamek, obwiódł go *grubym murem* tak, żeby Tatarzy niełatwo się do

niego dostać mogli. Oto był początek miasta Lwowa, które nazwę od imienia księcia Lwa otrzymało.

Gdy wejdziemy teraz na ową górę Zamkową, niemały kawał ziemi przed oczyma nam się rozściela. Ku północy kraj równy, lecz zato na południe jakoby kto ziemię w fałdy poukładał,—ciągle droga to podnosi się, to w dół opada. Rzeki dużej Lwów nie posiada, jeno bagnistą nieco Pełtew, wlewającą wody do Bugu, który znów wpada do Wisły. Lecz zato pod samem miastem wypływa ze źrodeł kilka czystych potoków i płynie między zielenią,—jest bowiem w mieście dużo drzew i ogrodów. Dawniej boki pagórków okrywał las gęsty, co dodawało rozmaitości widokom, a na przedmieściach domki nurzały się w zieleni, otoczone zewsząd ogrodami.

I oto na przedmieściu Halickiem, pomiędzy śliwami i jabłoniami, stał w 16-m wieku cichy dworek Szymona, rajcy lwowskiego, t. j. urzędnika, należącego do t. z. Rady miejskiej, zajmującej się porządkiem i zarządem miasta. Zamożny ten, a rozumny, mieszczanin daje synowi Szymonowi staranne wychowanie i posyła go do Akademji Krakowskiej, tej samej, w której jakieś czterdzieści lat przedtem uczył się Kochanowski. W Krakowie, a potem w miastach zagranicznych, Szymon, zwany Szymonowiczem, jako syn Szymona, zapoznał się z dawnymi rzymskimi pisarzami tak doskonale, że i pisał na wzór ich po łacinie i innych z nimi zaznajomił; wróciwszy bowiem do swego skromnego dworku na przedmieściu Halickiem, zabrał się do nauczycielstwa. Rozmaici wielcy panowie oddawali skromnemu mieszczaninowi synów na naukę, a Jan Zamojski, co to Kochanowskiego odwiedzał w Czarnolesiu, tak wdzięczny był Szymonowiczowi za to, że mu uczył syna, iż się mienił jego przyjacielem, słuchał rad uczonego męża, a umierając, *testamentem* polecił dziecko swe jego

opiece. Nadto, wywdzięczając mu się za pracę, wyjednał u króla dla mieszczanina herb szlachecki i nazwisko; zwał się więc odtąd poeta Szymon Szymonowicz Beudoński.

Cicho i gładko płynęło życie skromnego nauczyciela w ukochanym Lwowie, w Zamościu, lub wreszcie w jednej z dwu wsi, które trzymał w dzierżawie. Osobliwie lubił Szymonowicz spokój wiejski, bo też sam był cichy, łagodny i pogodnego usposobienia. Życie wieśniaków i drobnej szlachty, zamieszkałej w białych dworkach drewnianych, najwięcej mu się podobało. Tam każdy wprawdzie pracował ciężko, ale też co wiosnę cieszył się świeżą roślinnością, wychodzącą z ziemi, co lato zbierał plony, dziękował za nie Bogu, strojąc skromny kościołek drewniany w wieńce ze zbóż i kwiatów na Matkę Boską Zielną. Szymonowicz ukochał gorąco ciche życie wiejskie, bez wielkich cierpień i bólów, i opisał je w wierszykach, zwanych *sielankami* od wyrazu *sioło*, t. j. wieś. Tylko sielanki poeta pisał po polsku, inne zaś utwory po łacinie; nie myślał pewno, że w trzysta lat po jego śmierci ludzie już zapomną o wszystkich jego łacińskich pismach, a polskie wierszyki będą czytali i pamiętali, bo są one bardzo miłe i każdy z przyjemnością je powtarza.

Oto np. w sielance „*Kołacze*“ poeta opisuje, jak w skromnym dworku odbywa się wesele.

„Sroczka krzekce na płocie, będą goście nowi,
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powie.
Sroczko—umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała;
Z którejeś strony gości jadących widziała?
Sroczka krzekce na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
*Panicz z dal*ekiej strony; pod nim koń chodziwy,

Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota;
Panno, gotuj się witać, już wjeżdża we wrota.“

Pan młody i drużbowie zsiadają z koni, a druchny witają ich wymówkami, że długo na nich trzeba było czekać. A tu już i panna z matką wychodzi witać lubego. Ten nizko uchyla czoła, lecz nie chce wejść do domu i siąść za stołem, dopókiby nie otrzymał swej drogiej kochanki. Więc pannę stroją do ślubu, a łza za łzą płynie po jej liczku. Lecz i młodzieniec zbladł trochę, bo ślub to rzecz ważna, trzeba się nad nią dobrze namyślić, by sobie nie kupić kłopotu. Kapłan gotuje stułę i młodą parę wiąże przed ołtarzem, poczem wszyscy składają życzenia. Tymczasem w domu panny stawiają na stole potrawy i goście siadają, pierwsze miejsce zostawiając młodym.

„Panna nie wzniesie oka, serduszko w niej taje,
A pan młody długiemu obiadowi łaje.
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojnie nalewają:
Kołacze grunt wszystkiemu, a można rzec śmiele,
Bez kołaczy,—jakoby nie było wesele.“

I oto wkrótce stukają w próg laską i wnoszą ciasto upragnione; idą drużbowie i druchny i zaczyna się taniec z przyśpiewkami do państwa młodych, których do zabawy zabierają. Na tem kończy poeta opowiadanie i zwraca się znów do sroczki:

„Sroczko, z dobrąś nowiną do nas przyleciała,
Bodajeś u sąsiadów także zakrzeczała.“

A teraz wcale inny obrazek w sielance „*Żeńcy*.“ Oto gorące słońce lipcowe rzuca na ziemię palące promienie i *złoci ogromne łany* żyta, falujące za lekkim

wiatru podmuchem. Krzywe sierpy migają w powietrzu, a nad ziemią pochyla się kilkanaście kobiet pracujących. Pot się im leje z czoła, a przecie nie tracą wesołości, śpiewają i rozmawiają. Nad niemi stoi ekonom, którego one starostą nazywają. Zły to człowiek, nielitościwy, nie ma wyrozumienia dla ludzi, bo mu tylko o to idzie, by się panu pochwalić, że dużo w polu zrobiono. To też żniwiarki szczerze go nie lubią i rade go wyśmiewają, gdy im trochę z oczu zejdzie; gdy zaś się zbliża, śpiewają takie piosenki, któreby go zmiękczyły i zawstydziły:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu się zda mało,
Chciałby on, żebyś ty od północy wstało.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie.
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi;
A on zawsze: „pożynaj, nie postawaj!“ woła,
Nie pomnąc, że przy sierpie pot się leje z czoła.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc, a zaś dzień jasny, gdy ty wstajesz:
Niech i on na nas zawsze jasnem patrzy okiem,
Niech nas z pola wczas puszcza, nie z ostatnim mrokiem.“

Można się domyślić, że Szymonowicz nie bez celu pisał tak w swojej sielance; często bowiem panowie nie wiedzieli nawet, jak tacy starostowie obchodzili się z ludźmi, jak im ciężko kazali pracować i jacy byli dla nich niegodziwi. Taki wiersz pokazywał jakby palcem *krzywdę*, więc na nią większą zwracano uwagę. Sie-

lanki rozprzedały się nadzwyczaj prędko, wielu je więc czytało i nie bez tego, aby do serca niejednego nie trafiły.

Do cichego dworku Szymonowicza, ukrytego w ogródku, pełnym śliw i jabłoni, często przychodzili najbliżsi jego sąsiedzi, dzieci kamieniarza Zimorowicza. Dwóch synów tego zamożnego rzemieślnika lwowskiego wsławiło się wierszami polskimi i łacińskimi, a osobliwie sielankami, pisanemi na wzór sielanek Szymonowicza, którego obaj chłopcy serdecznie kochali. Obaj też byli jego ulubieńcami. Starszy Józef, poważny, lecz z życiem w oczach, rad był się zawsze czegoś nowego dowiedzieć od pana nauczyciela. Opiekował się on troskliwie o siedem lat młodszym Szymonem, szczupłym, bladym chłopczyną, który długiego życia nie mógł oczekiwać. Jakoż rzeczywiście zmarł, mając lat dwadzieścia pięć, ale na parę lat przedtem napisał bardzo ładne sielanki, ofiarowując je, jako podarek, bratu starszemu w dzień jego ślubu z Katarzyną Duktynicką. „Ja cichutko więdnę, mówi tam Szymon Zimorowicz, więc wy żyjcie za mnie, najmilsi oblubieńcy."

Spełniło się to życzenie, bo Józef Zimorowicz żył lat osiemdziesiąt pięć. Rozum jego i zacność charakteru umieli ocenić bracia Lwowianie; szanowali go oni, kochali bardzo i wybierali na urzędy miejskie, więc najpierw na rajcę t. j. należącego do Rady zarządzającej miasta, a potem na burmistrza. Osiemdziesiąt pięć lat życia—to nie mały kawałek czasu i wiele zmian przynieść mogący. To też Józef Zimorowicz niejedno widział i pamiętał, a nawet spisał w łacińskiem dziele p. t. „*Historja miasta Lwowa.*" Lecz do szczęśliwych

starców poeta nie należał, bo z młodości pamiętał chwile dobre i dla niego, i dla miasta rodzinnego, i dla całego kraju; potem zaś jakby się jakaś ciemna płachta zsunęła z niebios i wszystko cieniem swym przysłoniła: widział starzec miejsca te same, a przecie inne, o ileż smutniejsze!

Urodzony w r. 1597, t. j. przy końcu 16-go wieku, Zimorowicz musiał patrzeć na straszne klęski bratobójczej wojny, na upadek złotego wieku. Jakże dobrze pamiętał on swe lata młodzieńcze, gdy to brat składał mu pieśni w darze weselnym, a młoda żona zaczynała gospodarować! Zasobne miał wtedy domostwo, było w niem na co ładnego popatrzeć. Meble rzeźbione, łóżka z bogatemi, ciężkiemi firankami, wielkie zwierciadła w salonie, piękne zegary, świeczniki, a na podłodze, gdzie stąpić—kobierce barwne. Ślicznie było i paradnie! Schodzi się gości gromada: żona poety w sukni jedwabnej z rękawami, obrzuconymi perłami, w czepeczku z jedenastu rubinami na głowie, w łańcuchu złotym na szyi, a na rękach pierścienie i bransolety, a w uszach drogie kolce... Zaprasza do jadalni, gdzie stół ugina się pod zastawą: tu na misach srebrnych i półmiskach podają różne mięsiwa, ryby, sztucznie przyprawiane: od głowy pieczone, w środku gotowane, a przy ogonie smażone; tu wina w puharach kształtu łódek, dzbanki z kokosowego orzecha w złoto i srebro oprawne; tu owoce krajowe i zamorskie, konfitury, kompoty na ślicznych kryształowych miseczkach, z których się bierze łyżkami o trzonkach w zgrabne figurki rzeźbionych. Oj, przeszło to wszystko, przepadło bogactwo, a nie u jednego tylko Zimorowicza, lecz u wszystkich braci Lwowian! Gdzie było miasto, coby więcej liczyło mieszczan-bogaczy? Lecz całe to bogactwo nie ostało się burzy, co w kraju szalała, bo gdy

w kraju źle się dzieje, nikt spokojnym i szczęśliwym być nie może. Przyszły klęski jedna po drugiej: pamiętał je dobrze Zimorowicz, choć się nieraz zdawało, że sądny dzień nadszedł i człowiek cały z niego nie wyjdzie. Lecz tak już Bóg chciał, żeby nam poeta ocalał, a spisał, co widział na własne oczy. Przyszedł rok 1648—ciężko go wspominać. W Marcu na Litwie kona król Władysław IV, dzielny syn owego niezbyt dobrej pamięci Zygmunta III. Przez całe życie naprawiał on błędy ojca, ale nie we wszystkiem udało mu się zaradzić. I oto teraz w przedśmiertnej godzinie wielce troska się o państwo, bo od południo-wschodu zagrażają poważni nieprzyjaciele. Za trudnemi do przebycia skałami na rzece Dnieprze, czyli t. z. porohami, t. j. progami, chronią się ludzie wolni—Kozacy, lubiący pohulać na wojence, łupów nabrać, a potem pić i jeść na wyspie Chortycy, na Dnieprze, gdzie obóz główny, Sicz mieli. Długo na Siczy im nie bawić, bo co im po takiem życiu spokojnem bez przygód! Oni mołojcy szablę kochają, konika wiernego, a życie? co im życie, oni je za nic mają. 6000 kozaków zapisanych jest do wojska zaporoskiego, któremu przewodniczy hetman kozacki — tak kazał król Stefan Batory. W 1648 r. zjawia się między nimi na Siczy hetman Bohdan Chmielnicki. Uciekł on tu śmiertelnie obrażony przez starostę Czaplińskiego, który mu żonę porwał, syna obił, a dom puścił z dymem. „O ty, panie Czapliński, nie zaczepiaj Kozaka—pokażę ja ci, cośmy my, ale ci gorąco będzie i tobie, i twym druhom szlachcicom.“ Tak myślał Chmielnicki i dalejże Kozaków buntować, żeby zaś więcej sił zebrać, wezwał Tatarów. Straszna to rzecz zemsta; gdy kogo opanuje, to mu i rozum i sumienie odbierze, a wprost do zbrodni i piekła ciągnie. 6 paźdz. 1648 r. ujrzano z murów Lwowa nieprzeliczone tłumy Tatarów

i Kozaków. W mieście obrońców było mało: 250 żołnierzy i około 1500 uzbrojonych mieszczan. Nieprzyjaciół obliczono na 200 tysięcy. Pomimo jednak takiej sił nierówności, nie zlękli się nasi Lwowianie i postanowili bronić miasta. Dwa dni trzymały się nawet przedmieścia. Lecz wdarli się tam wreszcie Tatarzy i zaczęli rzeź straszną.

Zdobywszy przedmieście Lwowa, Kozacy mogli stamtąd wygodnie ostrzeliwać miasto, kryjąc się za domostwa—trudno więc teraz było bronić murów. Jeden znaleziono sposób ratunku: spalić przedmieścia. Lwowianie się przed nim nie cofnęli i, gdy noc zapadła, raptem miasto otoczyły zewsząd płomienie, dym ledwie oddychać pozwalał, iskry leciały do środka, tak, że stojący na murach żołnierze ciągle musieli uważać, by się bydynki miejskie nie zajęły. Lecz dla nieprzyjaciół była to klęska prawdziwa: z dzikim krzykiem poczęli uciekać z przedmieść i z osłupieniem patrzyli na dzieło zniszczenia, podziwiając ludzi, którzy sobie własnoręcznie taką krzywdę wyrządzić umieli. „Widać, że Lwowianie poddać się nam nie zechcą"—pomyślał Chmielnicki i słał do nich listy, proponując okup. Na to się mieszczanie zgodzili, zapłacili, na co ich stać było, by się pozbyć tyle razy silniejszego wroga. Cóż to była za radość, gdy Chmielnicki zaczął zwijać obóz, lecz zarazem jakże straszny obraz przedstawił się oczom mieszkańców!

Do straty w ludziach, trzeba dodać stratę bogactw i pieniędzy. Gdy bowiem Kozacy zgodzili się na okup, dawano wszystko, co można było, ażeby zebrać żądaną przez wrogów sumę.

„Nietylko suknie z grzbietów, a z głów swych kołpaki,
Lecz musiano z skrzyń złoto, z sklepów dać towary,

Nawet srebro kościelne wydano od fary:
Poszły na łup Tatarom kadzielnice, krzyże."

Gdzież się teraz podziało dawne bogactwo mieszczan lwowskich! Przez długie lata nie mogli się dorobić tego, co stracili. Lecz o ileż byłoby gorzej, gdyby się wrogom poddali—wtedy całe miasto wyglądałoby, jak przedmieścia. Tak zaś mieli nadto Lwowianie sławę, że umieją dobrze się bić i bronić swej ziemi.

Krwawe i smutne obrazy z r. 1648 nie były ostatnimi, na jakie patrzył w swem życiu Zimorowicz. W 7 lat potem, w r. 1655, Lwów raz jeszcze bronić się musiał Chmielnickiemu. Wtedy kraj cały, jak potop, zalewali różni nieprzyjaciele, bo—prócz Kozaków i Tatarów—Szwedzi, którzy większą część Polski zajęli. Z większych miast poddała się Warszawa i Kraków, więc król Jan Kazimierz, powróciwszy do kraju zza granicy, dokąd uszedł przed wrogiem, zatrzymał się we Lwowie. Tam odbyła się owa uroczystość na długie lata pamiętna: po Mszy św. Jan Kazimierz przysiągł w kościele, że, jeśli mu Bóg pozwoli wygnać z kraju Szwedów, pomyśli o polepszeniu doli wieśniaków, bo dzielni górale i krakusi pomogli mu ze Ślązka do Lwowa bezpiecznie się przedostać. Wtedy też, uznając zasługi Lwowian, król zrównał ich z mieszczanami Krakowa, najpierwszego pod tym względem miasta polskiego, i dał im herb szlachecki, co było na owe czasy rzeczą niemałej wagi.

Tymczasem umarł srogi hetman zaporoski, Bohdan Chmielnicki, a następcy jego sprowadzili na kraj nowego swego sprzymierzeńca Turków, — nieprzyjaciół Krzyża świętego, wyznawców fałszywego proroka Mahometa.

W r. 1672, gdy na tronie zasiadł niedołężny król, Michał *Wiśniowiecki,* Turcy zajęli Podole, Ukrainę, zdo-

byli silną twierdzę Kamieniec nad rzeką Dniestrem i szli na biedne miasto Lwów. Sam hetman Sobieski, późniejszy król i zwycięzca Turków, nie miał nadziei, aby się Lwów obronił. Strach ogarnął mieszczan lwowskich, którzy już tyle razy mogli się przekonać o tem, jak straszną jest wojna i oblężenie. Uchodzić z życiem i najbliższą rodziną na zachód, ku Krakowu i Warszawie, gdzie bezpieczniej i pewniej? A co się stanie z tymi, którzy uciec nie mogą, co się z miastem stanie, co z ojczyzną, — o tem trudno myśleć... Codziennie z bram miasta wyjeżdżały ładowne wozy i bogate karety mieszczan lwowskich, a z ich okien wyglądały kobiety wystraszone, jakby Turek już na miasto uderzał. Z bólem serca patrzył na tę ucieczkę sędziwy burmistrz miasta, Bartłomiej Zimorowicz. Liczył on już podówczas 75 lat, a przecie krew burzyła się w jego sercu i odważniejszym był ów starzec od wielu młodzieńców. Mężni nie uciekają nigdy przed nieprzyjacielem, nie poddają miasta własnego: raczej umrzeć, niż się tak shańbić! Namówiwszy się przeto z dowódcą, czyli komendantem załogi wojskowej, Eljaszem Łąckim, dzielny burmistrz rozkazał zamknąć bramy miasta, by przerwać ucieczkę, poczem zwoławszy wszystkich mężczyzn przed ratusz, przemówił do nich, wzywając do obrony miasta, do walki za wolność i wiarę chrześcijańską. „Niech wszyscy, co chcą ocalenia miasta, przejdą na prawą stronę“ — zawołał wreszcie i sam stanął pierwszy. Cały tłum zgromadził się wokoło sędziwego starca, nikt nie pozostał po lewej stronie. Teraz już szło tylko o to, aby się przygotować, jak należy, na odparcie nieprzyjaciela. Poprawiono mury, sypano wały, odbywano ćwiczenia wojenne. Wreszcie pokazali się Tatarzy, za nimi Kozacy, Wołosi, nakoniec Turcy świetnie *uzbrojeni i lśniący* od złota. Nasi dzielnie się bronili,

ale i tym razem siły nieprzyjaciół były olbrzymie, więc mieszczanie z zadowoleniem dowiedzieli się, że się mogą opłacić. Lecz Turcy zażądali ogromnego okupu: 80,000 talarów, a w mieście nie można było więcej, niż 5 tysięcy, zebrać. Obiecali Lwowianie wypłacić okup z czasem, lecz Turcy zażądali kilku ludzi na zakładników, licząc na to, że, gdy ich zabiorą do siebie, towarzysze zechcą ich jak najprędzej wykupić. Lecz kto pójdzie dobrowolnie do strasznej niewoli tureckiej?—Pytanie to zawisło nad miastem, jak chmura olbrzymia, zapowiadająca rychłą burzę i nieszczęście. Nikt nie miał odwagi przyjąć tak ciężkiego obowiązku... Wtedy wysunął się zpomiędzy zgromadzonych siwy burmistrz, nasz poeta kochany, Zimorowicz. Ofiarowywał on swoje stare kości na niewygody i trudy niewoli, dowodząc, że mniej go szkoda, niż młodego, bo ten długo jeszcze może służyć krajowi. Rozumie się, że nie przyjęto szlachetnej ofiary, lecz teraz ochotnicy znaleźli się odrazu; 10 ludzi poszło do wrogiego obozu, żegnając braci, do których już nie wszyscy mieli powrócić, dwaj bowiem zmarli w niewoli. Otrzymawszy część pieniędzy obiecanych oraz zakładników, Turcy ustąpili zpod Lwowa. Byli to ostatni nieprzyjaciele, których widział Józef Bartłomiej Zimorowicz pod murami miasta rodzinnego. Umarł on w 10 lat później, nie doczekawszy się już szczęśliwej chwili, gdy król Jan III Sobieski pobił Turków na głowę pod Wiedniem.

Na Zimorowiczu kończymy opowieść o poetach „złotego wieku.“ On nam opisał te straszne czasy, jakie później nastały, a które oglądał już oczami starca. Już i sam Zimorowicz, choć młodość w szczęśliwych dniach spędził, w starości patrzył na straszne wypadki, wcale do wieku Zygmuntowskiego nie należące, i te-

w swoich smutnych sielankach odmalował. Mówił o sobie, że idzie śladem Szymonowicza, i rzeczywiś w pisaniu przypominał go czasem: ale sielanki tamt poety są miłe, wesołe,—a skąd Zimorowicz miał brac wesołość?—Inne czasy, inne pieśni!

KONIEC.

SPIS RZECZY.







